

LUIS SEPULVEDA

PODROŻ DO ŚWIATA NA KOŃCU ŚWIATA

Przełożyła Dorota Walasek-Elbanowska

NOIR SUR BLANC

Projekt okładki: Tomasz Lec

Tytuł oryginału: Mundo delfin del mundo

Copyright © Luis Sepulveda, 1994

For the Polish edition Copyright © 2003, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 83-88459-59-7

Moim chilijskim i argentyńskim przyjaciołom, którzy walczą o ochronę środowiska naturalnego Patagonii i Ziemi Ognistej, z podziękowaniem za serdeczną gościnę

Załodze nowego „Rainbow Warrior”, okrętu flagowego Greenpeace

Pracownikom Radia Ventisquero z Co-ihaique, głosu świata na końcu świata

CZEŚĆ PIERWSZA

„Imię moje: Izmael... Imię moje: Izmael...”* — powtarzałem, czekając na lotnisku w Hamburgu, i czułem, że za sprawą jakiejś dziwnej mocy cieniutki blankiet biletu lotniczego ciąży mi tym bardziej, im bliższa jest godzina odlotu.

Przeszedłem już przez pierwszą odprawę. Krążyłem w tłumie pasażerów,

mocno przyciskając do siebie podręczną torbę. Nie miałem w niej wiele: aparat fotograficzny, notes i książkę Bruce'a Chatwina W Patagonii. Zwykle irytują mnie ludzie, którzy bazgrzą po książkach, ale w tej aż roilo się od moich własnych podkreśleń i wykrzykników, nagromadzonych w trakcie kolejnych lektur. Czytałem ją trzykrotnie, a teraz zamierzałem zrobić to po raz czwarty, podczas lotu do Santiago de Chile.

Zawsze chciałem wrócić do Chile. Pragnąłem tego, ale gdy trzeba było podjąć decyzję, górę brał strach, a chęć ujrzenia brata i przyjaciół zmieniała się w mglistą obietnicę, którą tak często sobie składałem, że coraz mniej wierzyłem, iż kiedykolwiek jej dotrzymam. Przywykłem już do nieustannej włóczędzy, gdy zaś miałem ochotę zabawić gdzieś dłużej, kusiło mnie raczej, by osiąść w maleńkiej wiosce rybackiej na Krecie, ta-
* Herman Melville, *Moby-Dick*, czyli biały wieloryb, przeł. Bronisław Zieliński.

kiej jak Ierapetra, albo w sennym asturyjskim miasteczku Villaviciosa. Lecz pewnego dnia wpadła mi w ręce książka Chatwina, a wówczas odzyskałem świat, który już uznałem za utracony, a który wciąż na mnie czekał — świat na końcu świata. Gdy przeczytałem ją po raz pierwszy, poczułem rozpaczliwe pragnienie powrotu, jednak Patagonia leży bardzo daleko, a odległość ta jawi się w swym rzeczywistym wymiarze wówczas zwłaszcza, gdy wspomnienia wynurzają się niby boje na wzburzonym morzu najtrudniejszych lat życia.

Lotnisko w Hamburgu. Podróżni oglądają sklepy wolnocłowe, przesiadują w barze i nerwowo zerkają na zegarki, jakby nie dowierzając punktualności wskazówek, powielonej przez dziesiątki aparatów elektronicznych. Zbliża się chwila, w której otworzą się drzwi i po

sprawdzeniu kart pokładowych zostaniemy przewiezieni autobusem do samolotu.

Myślałem o tym, że po dwudziestu czterech latach rozłąki powracam do świata na końcu świata.

Byłem wtedy bardzo młodym człowiekiem, właściwie dzieckiem jeszcze, i marzyłem o przygodach, dzięki którym w moim życiu nigdy nie zagoszcą monotonia i nuda.

Nie byłem w tych marzeniach osamotniony. Miałem Wuję — właśnie tak, przez duże „W”. Wuj Pepe odziedziczył raczej temperament mojej niesfornej baskijskiej babki niż andaluzyjski pesymizm dziadka. Wuj Pepe... Ochotnik Brygad Międzynarodowych w hiszpańskiej wojnie domowej. Fotografia, na której widnieje obok Ernesta Hemingwaya, była jedyną pamiątką owych chlubnych czasów. Powtarzał zawsze, iż powinienem odkryć własną drogę i czym prędzej wyruszyć w świat. Nie muszę chyba dodawać, że Wuj Pepe był najczarniejszą owcą w rodzinie, a w miarę jak dorastałem, nasze spotkania nabierały posmaku konspiracji.

To od niego dostałem pierwsze książki, dzięki niemu poznałem twórczość pisarzy, których nigdy nie zapomnę: Juliusza Verne'a, Emilia Salgariego, Jacka Londona. On też podarował mi Moby Dicka Hermana Melville'a — opowieść, która wycisnęła piętno na całym moim życiu.

Kiedy ją przeczytałem, miałem czternaście lat, a gdy skończyłem — szesnaście; nie mogłem już dłużej opierać się zewowi Południa.

W Chile wakacje letnie trwają od połowy grudnia do połowy marca. Usłyszałem od kogoś, że na suban-tarktycznych krańcach kontynentu kotwiczą flotyle statków wielorybnych, gorąco więc zapragnąłem

poznać ludzi, w których widziałem wierne odbicie kapitana Ahaba.

Tylko dzięki pomocy Wuja Pepe, który ponadto opłacił mi przejazd koleją, udało się przekonać rodziców, że koniecznie powinienem się wybrać w tę podróż.

Pierwsze tysiąc kilometrów wyprawy na spotkanie ze światem na końcu świata przebyłem pociągiem do Puerto Montt. Tam, na brzegu morza, tory urywają się nagle. Dalej kraj dzieli się na tysiące wysp, wysepek, kanałów i przesmyków, ciągnących się niemal do bieguna południowego, a łańcuchy gór, lodowce, nieprzebyte lasy, wieczne śniegi, jeziora, fiordy i kapryśne rzeki uniemożliwiają wytyczenie dróg lub tras kolejowych na lądzie.

W Puerto Montt, dzięki staraniom mego opatrznosciowego Wuja, przyjęto mnie na statek, który przewoził towary i pasażerów do Punta Arenas na kresach Patagonii i dalej, aż do Ushuaia — najbardziej na południe wysuniętego krańca Ziemi Ognistej.

Kapitan „Gwiazdy Południa”, potomek jugosłowiańskich emigrantów, nazywał się Miroslav Brandović.

Z Wujem Pepe poznali się podczas wojny w Hiszpanii, a potem, ramię w ramię, walczyli we francuskim Ruchu Oporu. Przyjął mnie na pokład w charakterze kuchcika i zaledwie odbiliśmy od brzegu, dostałem ostry nóż i worek ziemniaków do obrania.

Rejs trwał zaledwie tydzień. Od Punta Arenas dzieliło nas około tysiąca mil, a statek zawijał po drodze do maleńkich przystani i portów wyspy Chiloe, gdzie ładował worki ziemniaków i cebuli, warkocze czosnku i bele grubych wełnianych ponchos, aby pożeglować dalej przez wiecznie wzburzone wody zatoki Corcovado, a potem, wpłynąwszy w północne

ujście kanału Morałeda, podążyc z biegiem Wielkiego Fiordu Aisen — jedynej drogi wiodącej w zacisze Puerto Cha-cabuco.

Tam, w porcie osłoniętym zewsząd górami, cumował kilka godzin, czekając na przyływ, po czym, skończywszy załadunek, powracał na otwarte morze.

Kursem na zachód i północo-zachód skierował się do ujścia Wielkiego Fiordu, a potem do kanału Morałeda. Stamtąd ruszył na północ, oddalając się od chłodnych wód pływającego lodowca San Rafael i nieszczęsnych statków uwięzionych wśród jego lodowych macek, nierzadko wraz z całą załogą.

Żeglowaliśmy tak wiele mil, póki nie skręciliśmy na zachód. Przeciawszy archipelag Guaitecas, wypłynęliśmy na otwarte morze, by wkrótce zawrócić niemal wprost na południe.

Obrałem chyba tony ziemniaków... Budziłem się o piątej rano i pomagałem w kuchni. Podawałem do stołu załodze. Obierałem ziemniaki. Zmywałem talerze, garnki i sztućce. Znowu ziemniaki. Trybowałem mięso na befsztyki. Znowu ziemniaki. Siekałem cebulę do pierogów. Powrót do ziemniaków. A w przerwach, które inni marynarze przesypiali, chrapiąc smacznie pod pokładem, starałem się możliwie najlepiej poznać życie na statku.

Szóstego dnia żeglugi miałem pęcherze na rękach i byłem z siebie bardzo dumny. Kiedy skończyłem podawać śniadanie, kapitan Brandović wezwał mnie na mostek.

— Mówisz, chłopcze, że ile masz lat?

— Szesnaście. Ale już wkrótce skończę siedemnaście, panie kapitanie.

— W porządku, chłopcze. Wiesz, co tam błyszczczy od bakburty?

— Latarnia, panie kapitanie.

— I to nie byle jaka! To latarnia Pacheco. Przed nami Grupo Evangelistas. Wchodzimy w Cieśninę Magellana... Kiedyś opowiesz o tym swoim wnukom! Ćwierć rumba w lewo i mała naprzód! — rzucił nagle, zapomniawszy o moim istnieniu.

Miałem szesnaście lat i byłem szczęśliwy. Zszedłem do kambuza, żeby dalej obierać ziemniaki, ale czekała mnie mila niespodzianka — kok zmienił jadłospis i na razie nie byłem potrzebny w kuchni.

Cały dzień spędziłem na pokładzie. Chociaż był środek lata, wiatr znad Pacyfiku przewiewał do szpiku kości. Opatulony w chilotańskie poncho, patrzyłem na wyspy, które mijaliśmy po drodze.

Znałem na pamięć ich nazwy, nęcące przygodą: Wyspa Kondora, Wyspa Parkera, Przekleństwo Drake[^], Port Miłosierdzia, Wyspa Rozpaczy, Wyspa Opatrzności, Skała Wisielca...

W południe kapitan i oficerowie kazali podać sobie obiad na mostku. Jedli na stojąco. Nie spuszczać oka z instrumentów nawigacyjnych i map, wiedli zagadkowe rozmowy z maszynownią w sobie tylko zrozumiałym języku cyfr.

Kiedy podawałem kawę, Brandović zagadnął mnie znowu.

— Po co, u diabła, marzniesz na pokładzie, chłopcze? Chcesz złapać zapalenie płuc?

— Patrzyłem na cieśnino, panie kapitanie.

— Zostań tutaj. Stąd lepiej widać. Teraz dopiero się zacznie! Weźmiemy ją szturmem, w całym znaczeniu tego słowa. Spójrz, z lewej mamy półwysep Córdoba. Otaczają go skały, ostre jak zęby rekina. Z prawej wcale nie jest lepiej. Widzisz te zdradzieckie rafy wokół południowo-wschodnich

brzegów wyspy Desolación? Jakby tego było mało, za parę mil wpadniemy na prądy z kanału Abra. Wałą z całym impetem otwartego morza. Ten przeklęty kanał o mało co nie rozprawił się z okrętami Magellana. Możesz tu zostać, chłopcze, ale ani pary z ust. Nie odzywaj się, póki nie zobaczysz latarni w Ulloa.

„Gwiazda Południa” sunęła najmniejszą mocą maszyn i około siódmej wieczorem dostrzegliśmy srebrzyste snopy światła latarni Ulloa, migoczące na horyzoncie od bakburty. Tu Cieśnina Magellana rozszerza się. Napięcie opadło i żegluga poszła sprawniej.

O jedenastej w nocy, kiedy blask latarni na przylądku Froward objął nas powitalnym uściskiem, kapitan Brandović⁴azał zawrócić statek na północ, a kok zawołał mnie do kambuza, żebym obsłużył wygłodniałą załogę.

Wyszorowałem naczynia i rondle i wyszedłem na pokład. Przejrzyste niebo wisiało tak nisko nad głową, że miało się ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć gwiazd. Równie bliskie zdawały się światła miasta.

Punta Arenas wznosi się na zachodnim brzegu półwyspu Brunswick. W tym miejscu Cieśnina Magellana ma około dwudziestu mil szerokości. Po drugiej stronie leży Ziemia Ognista, a nieco dalej na południe wody zatoki Iniił tworzą w cieśninie lagunę rozciągniętą na blisko siedemdziesiąt mil.

Nazajutrz nadszedł kres mojej morskiej podróży. Dotarłem do celu.

Podąłem ostatnie śniadanie, a kapitan Brandović pożegnał się ze mną, przypominając, że za sześć tygodni zabierze mnie z powrotem do Puerto Montt. Mocno, po marynarsku uściśnął mi dłoń i wręczył kopertę, na którą wcale nie liczyłem. W środku był spory plik banknotów. Dla szesnastolatka — fortuna.

— Bardzo dziękuję, panie kapitanie.

— Nie dziękuj mi, chłopcze. Kok przysięga, że nigdy nie miał lepszego pomocnika.

Byłem w Punta Arenas, na rękach miałem pęcherze, a w kieszeni pierwsze pieniądze zarobione własną pracą. Powłóczyłem się kilka godzin po mieście, po czym odszukałem dom znajomych Wuja Pepe, państwa Brito, którzy przyjęli mnie z otwartymi ramionami.

Państwo Brito znali okolicę jak własne pięć palców. Ona nazywała się Elena i była nauczycielką angielskiego. Jej mąż, don Felix, łączył pracę radiowego lektora z badaniami nad biologią morza. Dzieci nie mieli.

Dowiedziawszy się, że interesują mnie wieloryby, pan Brito wyciągnął album z fotografiami i tekę pełną obrazów malowanych przez jego dziadka, bretońskiego marynarza, który za młodu przybył na Ziemię Ognistą i już nigdy nie chciał jej opuścić.

Dom państwa Brito był drewniany, jak zresztą większość budynków na Dalekim Południu. Przestronny salon zdobił kamienny kominek. Płonący w ciemności ogień stwarzał przytulny nastrój, a my godzinami wpatrywaliśmy się w płomienie, wsłuchani w pomruki morza. Tak spędziłem pierwsze cztery dni u wrót Ziemi Ognistej. Rano wsiadaliśmy do land-rovera i jeździliśmy drogą łączącą Punta Arenas z Fuerte Bulnes na południu, wieczorami zaś zbieraliśmy się przy kominku, a don Felix, niezrównany gawędziarz, snuł opowieści o wielorybach i wielorybnikach. Lecz ja nie chciałem słuchać. Chciałem przeżywać.

Wreszcie don Felix spostrzegł, że błędzę myślami gdzieś daleko. Zamknął album ze zdjęciami i powiedział:

— Coś mi się zdaje, że naprawdę połknąłeś wielo-rybniczego bakcyła.

Cóż, skoro nie ma na to rady... Najpierw musisz się przedostać na drugą stronę cieśniny, do Porwnir. O tej porze roku niewielu tam zo-

1

stało wielorybników, a i ci są na morzu. Dowiedziałem się jednak, że w Puerto Nuevo kotwiczy jeden z moich przyjaciół. Naprawia statek. To trudny człowiek, ale jeśli mu się spodobaś, będziesz miał tę swoją wymarzoną przygodę.

Nazajutrz na pokładzie kutra, załadowanego po brzegi butlami z gazem, przekroczyłem Cieśninę Magellana. Puerto Nuevo leży prawie sto kilometrów na południowy wschód od Porvenir, stanąłem więc przy drodze, czekając na autobus do San Sebastian, na granicy z argentyńską częścią Ziemi Ognistej.

Miałem szczęście, bo nie minęło nawet pół godziny, gdy zatrzymał się koło mnie jeep z Ministerstwa Rolnictwa, wiozący kilku weterynarzy. Ucieszyli się na mój widok, nie spodziewali się bowiem spotkać kogoś, kto przywędrował tu aż z Santiago. Szutrowa droga biegła północnym brzegiem zatoki Inutil. Około trzeciej po południu wysadzili mnie w Puerto Nuevo.

Osada składała się z niespełna dwudziestu domów, ustawionych w dwa rzędy wzdłuż ulicy schodzącej wprost do morza. Teraz musiałem znaleźć „Ewangelistę” i jego szypra, Antonia Garaicocheę, bardziej znanego jako „Bask”.

Na kei kotwiczyło kilka małych statków, ale „Ewangelisty” nigdzie nie było widać. Przestraszyłem się, że już odpłynął, podszedłem więc do grupki mężczyzn, którzy uszczelniali burtę łodzi.

— Szukasz kogoś, mały?

— Szypra „Ewangelisty”. Nazywa się Antonio Ga-raicochea. Podobno naprawia tu statek.

— A...! Bask... Wypłynął w próbny rejs. Niedługo będzie z powrotem odpowiedzieli i w/ięli się znowu do pracy.

Nie miałem ochoty sterczeć na nabrzeżu. Denerwowały mnie rozbawione spojrzenia rybaków, no i doskwierał mi głód. Ruszyłem więc ulicą między podwójnym szeregiem drewnianych domów, rozglądając się za jakąś knajpką. W pewnej chwili minąłem otwarte drzwi, zza których dolatywała nęcąca woń smażonej cebulki. Spojrzałem w górę i zobaczyłem namalowany na desce szyld: BAR „ZIEMIA OGNISTA”. Nie namyślając się wiele, wszedłem do środka. Po raz pierwszy w życiu znalazłem się sam w restauracji.

Wewnątrz było pusto. Przejście między stolikami wiodło do kontuaru, ozdobionego lampami naftowymi i sztucznymi kwiatami. Usiadłem, czekając, aż ktoś mnie obsłuży.

Z zaplecza wyjrzała jakaś kobieta. Podeszła do mnie z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

— Czego sobie życzysz, chłopcze?

— Chciałbym coś zjeść. Od śniadania nic nie miałem w ustach.

— Może bułeczkę z serkiem?

— Wolałbym coś na gorąco. Tak smakowicie pachnie z kuchni. Proszę się nie obawiać. Zapłacę.

— Nie obsługujemy nieletnich. Jak przyjdą karabi-nierzy, wlepią mi mandat.

Wstałem z ociąganiem. Niełatwo być nieletnim. Musiałem zrobić smętną minę, bo kobieta zlitowała się nade mną i zanim doszedłem do drzwi,

zawołała:

— Poczekaj, chłopcze! Dam ci kawałeczek baranin-ki z cebulką i kartofelkami.

„Kawałeczek” okazał się połową pieczonego baraniego udźca. Jadłem za wszystkie czasy, uradowany niespodziewaną ucztą. Myślałem o moich kolegach z Santiago i ich nudnych letnich wakacjach, wiecznie takich samych: miesiąc na plaży w Cartagenie lub Val-paraiso, wieczorne spacerunki i dużo olejku do opalania. Będę miał o czym opowiadać po powrocie! Jeszcze nie minęły dwa tygodnie, a już doświadczyłem życia na morzu, dostałem pęcherzy na rękach, przepłynąłem Cieśninę Magellana, zarobiłem swoje pierwsze pieniądze, a teraz siedzę gdzieś na końcu świata nad połową baraniego udźca.

Z tych błogich rozmyślań wyrwał mnie surowy głos. W moją stronę zmierzało ułańskim krokiem kilku kabinierów.

— Co tu robisz? — zapytał najstarszy rangą. Przełknąłem pośpiesznie i odpowiedziałem:

— Czekam na don Antonia Garaicocheę. Przyjechałem z Punta Arenas. Mam coś dla niego. Na przystani mówili, że wypłynął w próbny rejs. Byłem głodny, więc wszedłem tu, żeby coś zjeść...

— Nie jesteś tutejszy, braciszku. Za dużo gadasz. Nie nawiałeś przypadkiem z domu? Skąd przyjechałeś?

— Z Santiago.

Moja odpowiedź go zaskoczyła.

— Przekonajmy się... Dokumenty proszę!

Wręczyłem mu nowiutki dowód osobisty i zaświadczenie z podpisem rodziców. Czytał, poruszając wargami.

Pod urzędowymi danymi, nazwiskami i adresami widniało, co następuje: „... .odpowiedzialni wobec prawa za okaziciela niniejszego dokumentu, oświadczamy, że syn nasz podróżuje na południe kraju za naszą wiedzą i zgodą. Ważne do dnia 10 marca r.”.

— Patrzcie, a to chytrus! I co wy na to, kapralu? Obywatel mieszka w Santiago. Pięknie! Cieszę się, że są jeszcze Chilijczycy, którzy chcą poznać swój kraj. Smakuje ci baraninka? — zagadnął przyjaźnie, zwracając mi dokumenty.

— Pycha — zdążyłem odpowiedzieć i w tym właśnie momencie do lokalu weszli dwaj mężczyźni, obaj bardzo wysocy i okazałej tuszy. Dwie trzydrzwiowe szafy, jak mawiamy w Santiago.

— O wilku mowa... powitał ich jeden z karabinierów.

— Basku, ten oto obywatel mówi, że pana szuka. Zagadnięty osobnik zdjął wielki jak patelnia beret i powoli zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. Spojrzawszy na swego kompana, wzruszył ramionami.

— To ja. O co chodzi? — burknął i kiwnął na mnie palcem.

Nie w smak mi była ta sytuacja. Obawiałem się, że w obecności karabinierów trudno będzie wyjaśnić, czego oczekuję po tym spotkaniu. Na szczęście mundurowi uznali misję za skończoną i wyszli.

— Siadaj, bracie, i mów, o co chodzi.

— No więc, jak by tu powiedzieć... Przyjechałem z Santiago... ale po drodze zawadziłem o Punta Arenas. Don Felix Brito przesyła panu

pozdrowienia.

— Dzięki. Napijesz się?

— Chętnie. Proszę lemo... — nie skończyłem, bo towarzysz Baska krzyknął w stronę kuchni:

— Na Emilia! Flaszeczkę mocnego jabłecznika dla nas, a dla chłopaka szklaneczkę tego słodziutkiego!

Zdrobnienia, tak typowe na południu Chile, w ustach tego wielkoluda zabrzmiały wręcz groteskowo.

Kobieta przyniosła zamówione trunki, a ja, po raz drugi w tej podróży, przeżyłem mój niezapomniany „pierwszy raz”. Skosztowałem słodkiego jak ulepek nektaru z małych brązowych jabłek o twardej skórce, chroniącej biały miąższ przed mroźnymi ukąszeniami polarnych wiatrów. Dziś nikt już nie pamięta, skąd przybyli uchodźcy, którzy tu, na Dalekim Południu, zasadzili drzewka rodzące te niepozorne, lecz niezrównane w smaku owoce.

— Zdrówko — mruknął towarzysz Baska, podnosząc szklankę do ust. Nazywał się don Pancho Armendia i był współnikiem, kumem, pierwszym oficerem, harpunni-kiem oraz najlepszym przyjacielem don Antonia. Wzięli się obaj do baranich udźców, a ja, siedząc ze szklanką w ręku, popijałem małymi łykami jabłecznik i czułem się coraz bardziej nieswojo. — Mówisz, że przysyła cię don Felix. Popatrz, popatrz. .. Wal śmiało, o co chodzi?

Na to właśnie czekałem. Jeszcze przed wyjazdem z Santiago przygotowałem sobie przemówienie, które miałem zamiar wyrecytować przed pierwszym napotkanym wielorybnikiem, ale teraz, w obliczu tych jedzących w milczeniu mężczyzn, nagle odjęło mi mowę.

— Niech mnie panowie wezmą ze sobą! Na trochę... tylko na jeden rejs!
Bask i Pancho wymienili spojrzenia.

— Nasza praca to nie zabawa, bracie. To ciężka harówka. Nieraz bardziej niż ciężka.

— Wiem. Znam się na tym trochę. No... nie za wiele.

— A ile masz lat, jeśli można wiedzieć?

— Szesnaście. Ale niedługo skończę siedemnaście.

— Popatrz, popatrz... Chodzisz do szkoły?

— Tak. Teraz mam wakacje.

— Popatrz, popatrz... A gdzie pływałeś?

— Na „Gwieździe Południa”. No, dobra... ten kawałek między Puerto Montt i Punta Arenas. Pomagałem w kuchni.

— Popatrz, popatrz... Mówisz, że znasz Polaka.

— Kapitana Brandovicia? Myślałem, że to Jugosłowianin.

— Wszystkich, których nazwiska kończą się na „ski” albo „icz”, nazywamy tu Polakami — wyjaśnił don Pancho.

Rozmowa, o ile zasługiwała na to miano, nie kleiła się i zacząłem już tracić nadzieję. Czułem, że moje złudzenia rozwiewają się, w miarę jak dwaj mężczyźni opróżniali talerze, zadając raz po raz nowe pytanie.

Zdażyłem już znienawidzić to „popatrz, popatrz...”, którym don Antonio Garaicochea opędzał się przede mną jak muletą. W pewnej chwili do lokalu weszło kilku mężczyzn. Byli to ci sami, których widziałem przedtem przy uszczelnianiu łód/.i. /ae/ęli zagadywać przyjaźnie do Baska i don Paneha. Na mnie nikt

nie zwracał uwagi. Po dłuższej przerwie padło kolejne pytanie:

— A co ty właściwie umiesz robić, bracie? Znowu cios poniżej pasa. W

zasadzie nie umiałem

za wiele.

— Umieję gotować. No... trochę.

— Popatrz, popatrz... Mówisz, że umiesz gotować.

Bask mi nie wierzył, a ja modliłem się, żeby nie poprosił o jakiś przepis.

Don Pancho oskrobał baranią kość czubkiem noża, po czym rzucił zbawcze pytanie:

— A właściwie dlaczego chcesz się, bracie, zaokrętować na wielorybnika?

Odpowiedź nie była łatwa.

— Bo ja... bo... Jest taka książka... Moby Dick. Może panowie czytali?

— Ja nie. Bask chyba też. Nie jesteśmy tu zbyt odcytani. O czym to jest?

W Santiago słyszałem wśród przyjaciół jako świetny gawędziarz. Była piąta po południu, kiedy zacząłem historię kapitana Ahaba. Obaj mężczyźni słuchali w milczeniu. I nie tylko oni — rozmowy przy sąsiednich stolikach ucichły i wkrótce cała klientela stłoczyła się wokół mnie. Opowiadałem, zmagając się z własną pamięcią. Nie mogłem się zdradzić. Słuchacze, nie chcąc mi przerywać, dyskretnie dolewali jabłeczniaka. Gadałem bite dwie godziny. Herman Melville wybaczy mi zapewne, że moja wersja różniła się nieco od oryginału, ale kiedy skończyłem, na wszystkich twarzach malowało się zamyślenie. Wreszcie, poklepawszy mnie po ramieniu, goście „Ziemi Ognistej” wrócili do swoich stolików.

— Moby Dick! Popatrz, popatrz... — westchnął Bask.

Poprosili o rachunek. Zapłacili. Ogarnęła mnie gorzka pewność, że oto kończy się moja przygoda.

— Dobra, idziemy — powiedział don Pancho.

— Ja też? Weźmiecie mnie /e sobą...?

— Ma się rozumieć, bracie. Trzeba sprawdzić takie-lunek, póki widno. Wypływamy wczesnym rankiem.

„Ewangelista” wyglądał niepozornie i zupełnie nie umiałem sobie wyobrazić, jakim cudem na pokładzie mógłby się zmieścić wieloryb. Podczas gdy Bask i don Pancho zajęci byli harpunami, oliwieniem armatki dziobowej, sprawdzaniem ładunku ziemniaków, suszonego mięsa charąi, paliwa i soli, przeglądaniem krążków, bloczków i lin, podtrzymujących trzy szalupy — dwie na sterburcie i jedną na rufie — ja zwiedziłem dokładnie długi na piętnaście metrów statek, ucząc się przy okazji, jak ważny dla ludzi morza jest porządek.

Pod pokładem trzymano beczki i wiele nieznanym mi sprzętów. W części dziobowej było pięć koi oraz tuba służąca do porozumiewania się z mostkiem kapitańskim.

Przenocowałem w baraku Baska i don Pancha. Dowiedziałem się, że większą część roku spędzają w Por-venir z rodzinami, a tu mieszkają tylko w sezonie połowów.

— Don Pancho, powiedz chłopakowi, dokąd płyniemy.

Don Pancho rozłożył na stole mapę i począł żeglować po niej palcem.

— Teraz jesteśmy tutaj, w Puerto Nuevo. Najpierw ruszymy na zachód, do Paso Boquerón. Tam wejdziemy w Cieśninę Magellana i popłyniemy na południe, do przylądka Froward. Od tego punktu dzieli nas około stu trzydziestu mil spokojnej żeglugi. Kiedy ukaże się przed nami przylądek, opuścimy cieśninę, która w tym miejscu zbacza na północny zachód. Ale my będziemy trzymać się kursu, a na trawersie wysp Dawson i Arace-na skrócimy do północnego ujścia kanału Cockburn.

Trzydzieści mil dalej na południe, na wprost półwyspu Rolando, zatoczmy łuk, jakieś czterdzieści mil na zachód-północ-zachód, i na wysokości wyspy Furia wypłyniemy na otwarte wody. Okrążywszy wyspy Cam-den, dotrzemy do Zatoki Stewarta. Przed nami Wyspy Gilberta i trzydzieści mil wzburzonego morza. Dwadzieścia mil dalej na wschód zaczyna się kanał Ballenero. Tam, na północnym brzegu wyspy Londonderry, jest nasza stacja wielorybnicza. Trochę na wschód mamy kanał Beagle, a w Zatoce Cooka będą na nas czekać wieloryby. A teraz trzeba, bracie, odpocząć. Dobranoc.

Wypłynęliśmy o pierwszym brzasku. W skład załogi „Ewangelisty” wchodził, oprócz Baska i don Pancha, dwaj małomówni Chilotańczycy oraz Argentyńczyk — elektryk i kucharz w jednej osobie. Argentyńczyk stanowczo nie chciał mnie widzieć wśród swoich rondli, co przyjąłem z ulgą, nie musiałem bowiem przesiadywać całymi dniami pod pokładem, ale jednocześnie gnębiło mnie, że nie mam nic do roboty. Na szczęście don Pancho mianował mnie radionasłuchiwcem. Moim zadaniem było dyżurowanie w kasztelu, z uchem przy radiu, i śledzenie komunikatów meteo.

Chilotańczycy byli niscy, ale mocno zbudowani i — jak zapewniał Bask — na morzach całej Antarktydy trudno by znaleźć lepszych wioślarzy. Żeglowaliśmy szlakiem, który opisał mi don Pancho. O zmroku, małą naprzód, weszliśmy do kanału Cockburn. Bask stał przy sterze przez całą noc. Wypuścił go z rąk dopiero o świcie, gdy wyszliśmy na otwarte wody. I wówczas przeżyłem kolejny niezapomniany „pierwszy raz”. Na wysokości wysp Camden podeszło do nas stadko delfinów, tak blisko, że niemal ocierały się o burtę. Popisywały się akrobacją ku uciesze chilotań-

skich marynarzy, uszczęśliwionych jak dzieci. Igraszki te trwały kilka godzin. Delfiny, jakby w odpowiedzi na okrzyki i gwizdy, skakały coraz wyżej, towarzysząc „Ewangelście” aż do Zatoki Stewarta.

Żeglowaliśmy kilka godzin przez spokojne wody kanału Ballenero. Wreszcie Bask kazał zatrzymać maszyny u wejścia do jednej z licznych zatok wyspy Lon-donderry. Chilotańczycy spuścili dwie szalupy, załadowali beczki, które przedtem widziałem pod pokładem, i odpłynęli w kierunku górującego nad wybrzeżem drewnianego budynku stacji wielorybniczej. W pobliżu dostrzegłem coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak skamieniałe pnie.

Kiedy za zgodą Baska zszedłem na ląd, odkryłem, że były to szkielety setek wielorybów, rozrzucone po usianej kamieniami i muszelkami plaży. — Robi wrażenie, co? Założę się, że tego nie znajdziesz w powieściach. Taki koniec czeka wszystkie wieloryby. Najpierw strzelamy do nich z armatki, a potem dobijamy ręcznym harpunem i odstawiamy na stację wielorybniczą, gdzie do akcji wkraczają noże. Wszystko, co się nadaje do wykorzystania, soli się i ładuje w beczki. Reszta idzie na żer dla mew i kormoranów. Chcesz zwiedzić wyspę? Dobrze, ale nie oddalaj się zbyt daleko. Jeśli pójdziesz brzegiem na południe, znajdziesz kolonie fok i słoni morskich.

Nie musiałem odchodzić daleko, aby je zobaczyć. Setki fok, słoni morskich, pingwinów i kormoranów zajęły skalną fortecę, opadającą prosto w morze. Gdy mnie zwietrzyły, podniosły łby. Zaniepokojone foki poruszyły wąsami, jakby próbowały odgadnąć moje zamiary. Czuję, że obserwują mnie bacznie małymi czarnymi oczkami, ale najwidoczniej

uznały, że jestem niegroźny, szybko bowiem powróciły do swej odwiecznej roli strażników horyzontu.

Postój przy stacji wielorybniczej trwał godzinę, a potem „Ewangelista” zawrócił na wschód i ruszył do ujścia kanału Beagle. Z prawej burty mieliśmy wyspę OBrian, z lewej Londonderry. (idy przepłynęliśmy pierwsze dwie mile, przesmyk zamknął się niby lejek. Bask ostrożnie manewrował statkiem, nieznacznie tylko dotykając steru; wyciągał przy tym szyję, żeby nie stracić z oczu nawet milimetra wąziutkiej linii horyzontu. Napięcie utrzymywało się aż do chwili, gdy na widok brzegów wyspy Darwin z ust kapitana dobyło się westchnienie ulgi. Cztery godziny stracił „Ewangelista” na przebycie tych siedmiu koszmarnych mil. Don Pan-cho przejął ster i ustawił dziób na południe. Zbliżaliśmy się do Zatoki Cooka i do wielorybów.

Don Pancho wyjaśnił mi, że zaledwie trzydzieści mil stąd, na wysokości Wyspy Bożego Narodzenia, wieloryby łączą się w pary. Dodał też, że okoliczne wody są bardzo niebezpieczne z powodu zdradliwych prądów i gór lodowych. Opowiadał o losach kilku pechowych statków, które utknęły w pułapce i zużyły cały zapas paliwa, usiłując się wydostać. W końcu wpadły w dryf i zostały zepchnięte na południowy wschód, na rafy Wysp Hendersona i Falso Cabo de Hornos — fałszywego przylądka Horn, gdzie dokonały żywota.

— Nawet teraz, latem, nie da się pływać w tamtych wodach. Żaden człowiek tego nie wytrzyma. Po pięciu minutach zginie z wychłodzenia. Wody Zatoki Cooka były spokojne. Lekka mgiełka unosiła się nad taflą morza, zacierała kontury wysp. Statek, kołysząc się leniwie, płynął naprzód. Na rozkaz Baska jeden z Chilotańczyków wspiął się na maszt.

Stamtąd, wisząc na wysokości siedmiu metrów nad pokładem, wypatrywał wielorybów. Wkrótce usłyszeliśmy jego okrzyk:

— Dmucha za sterburtą, ćwierć mili!

Don Pancho skoczył do armatki i załadował harpun do lufy. Szybko odciął cumy mocujące zwój liny, której jeden koniec przywiązany był do harpuna, a drugi do podstawy działka. Zaparł się w szerokim rozkroku, oczekując sposobności do strzału.

Podszedłem do wpatzonego w morze Baska.

— Tu jesteś, bracie...! — huknął. — To grindwal! Najpierw zobaczyłem obłok skroplonej pary, a zaraz potem monumentalny ogon, znikający pod wodą.

— Don Pancho! Masz go?!

Don Pancho machnął ręką. Minęło kilka minut i wieloryb wynurzył się tuż obok nas. Mogliśmy podziwiać go w całej okazałości: mierzył dobre osiem metrów. Nagle Bask uderzył dłonią w ster.

— Niech to szlag! Samica! W dodatku ciężarna... Don Pancho wyjął zapalnik z armatki, umocował linę i w chwilę potem był już przy nas.

Nie mogłem pojąć, jakim cudem rozpoznali płęć walenia i stwierdzili, że jest w ciąży.

— Widać to po tym, że wynurza się bardzo powoli, a kiedy znajdzie się na powierzchni, leży prawie płasko na wodzie — tłumaczył Bask.

— A na samice się nie poluje?

— Nie. To zabronione. Nikt nie zabija kury, która znosi złote jajka — powiedział don Pancho.

Owego dnia nie widzieliśmy już wielorybów w Zatoce Cooka.

Pod wieczór „Ewangelista” rzucił kotwicę w zatoce koło półwyspu Cloue. Argentyńczyk przyrządził barana z rusztu. Piekł go, stojąc na rufie, a dokoła uwijały się kormorany i mewy, racząc się obfitymi resztkami naszej uczy.

Przez następne trzy dni nie zobaczyliśmy ani jednego wieloryba. Bask nie krył złego humoru, ilekroć sprawdzał stan paliwa, ale maszyny musiały pracować bez przerwy. Czwartego dnia jeden z Chilotańczyków wreszcie coś wypatrzył.

Tym razem Bask dostał swoją zdobycz. To był ka-szalot.

Don Pancho ugodził go harpunem. Stumetrowy zwój liny rozwinął się błyskawicznie, a szarpnięcie uciekającego zwierzęcia zakołysało statkiem.

Powtórzyło się to

kilkakrotnie. Kaszalot podpływał do burty, po czym prędko się oddalał.

Być może nieraz już miał do czynienia z harpunnikami i wiedział, że tylko od jego szybkości zależy, czy zdoła się zerwać z uwięzi. Lecz Bask ścigał go zawzięcie: utrzymując stałą odległość między łowcą i zwierzyną, pilnował, by lina nie napinała się zbyt, póki nie zauważył, że opór zwierzęcia słabnie. Wyczerpany wieloryb wynurzył się na powierzchnię, a Chi-lotańczycy spuścili szalupę. Nie chcieli zabrać mnie ze sobą, więc najważniejsze chwile polowania oglądałem z pokładu, wychylony przez burłę.

Chwycili za krótkie wiosła o szerokim piórze. Widziałem, jak szybko zbliżają się do rannego zwierzęcia. Bask, przywiązany za kostki u nóg do pierścienia na dziobie łodzi, stał, ściskając w rękach krótki harpun, a kiedy podpłynęli do boku kaszalota, zagłębił ostrze w brunatne cielsko.

Wieloryb począł miotać się gwałtownie, chłoszcząc wodę wściekłymi

uderzeniami ogona, na szczęście niecelnymi. Gdyby było inaczej, roztrzaskałby łódź na kawałki. Tymczasem Chilotańczycy dali dowód swych wioślarskich umiejętności, po mistrzowsku unikając ciosów. Bask wywijał drugim harpunem —jak się okazało, niepotrzebnie. Powiedział mi później, że już za pierwszym razem ugodził zwierzę prosto w płuca. Z kaszalotem, uwiązany do platformy kołyszącej się za bakburtą na linii zanurzenia, ruszyliśmy w drogę powrotną. Don Pancho zrzędził, że nie podobają mu się odgłosy z maszynowni, a prognoza meteo nie była zbyt optymistyczna. Powtórzyliśmy niebezpieczną przeprawę między wyspami O'Brian i Londonder-ry i o zmierzchu zakotwiczyliśmy na wprost stacji wie-lorybniczej.

Nazajutrz dwie łodzie doholowały wieloryba na brzeg i tam Chilotańczycy rozpruli go nożami przypominającymi kije hokejowe. Krew zbryzgała czarne gumowe kombinezony, tryskała na kamienie i muszle, tworząc ciemne strumienie, które barwiły wodę czerwienią. Mewy, kormorany i inne morskie ptaki krążyły wokół, podniecone zapachem surowego mięsa, i niejeden z nich drogo zapłacił za swą śmiałość, rozplątany w locie na dwoje.

Robotnicy sprawili się szybko. Część kaszalota na-solili i włożyli do beczek, a porzucony na plaży szkielet wkrótce miał się wtopić w widmową panoramę Wyspy Londonderry.

Maszyny „Ewangelisty” istotnie były uszkodzone. Droga powrotna do Puerto Nuevo zabrała nam trzy dni w ulewnym deszczu, który ustał dopiero wówczas, gdy wpłynęliśmy na wody zatoki Inutil.

Co tu począć dalej? Może zostać jeszcze trochę z Baskiem i don Panchem? Rzuciliśmy kotwicę. Wyładowaliśmy beczki i trochę sprzętu.

Pożegnawszy się z Argentyńczykiem i Chilotańczykami, poszliśmy do „Ziemi Ognistej”, żeby coś zjeść.

Pieczona baranina i jabłecznik.

__Mamy pecha, bracie — zaczął Bask.

__Kaszalot. Ledwo starczy na pokrycie kosztów — narzekał don Pancho.

__A ty, braciszku, co powiesz?

— Sam nie wiem...

__Popatrz, popatrz... Podobało ci się?

__Xak. Podobała mi się podróż i statek. Podobacie mi się wy, Chilotańczycy, Argentyńczyk też. Podoba mi się morze, ale chyba nie zostanę wielorybni-kiem. Wybaczcie, jeśli się na mnie zawiedliście, ale tak Wyszło.

__Popatrz, popatrz... A więc to nie jest tak jak W książkach?

Chciałem coś dodać, ale Bask położył mi rękę na ramieniu i spojrzał na mnie ciepło.

__Wiesz co, bracie? Cieszę się, że nie spodobało ci się polowanie. Wielorybów jest coraz mniej. Być może jesteśmy ostatnimi wielorybnikami na tych morzach, i dobrze. Czas już zostawić je w spokoju. Mój pradziadek, mój dziadek, mój ojciec, wszyscy byli wielorybnikami. Gdybym miał takiego syna jak ty, tobym mu poradził, żeby poszedł inną drogą.

Nazajutrz odprowadzili mnie na szosę i wsadzili do ciężarówki swego znajomego, który jechał do Por-venir.

Uściskałem ich serdecznie, zasmucony, że pewnie nigdy więcej się nie

zobaczymy.

Świat na końcu świata.

Czuję delikatny dotyk czyjejś dłoni i odkrywam ze zdziwieniem, że wciąż jeszcze jestem w Hamburgu, a stewardesa prosi mnie uprzejmie o kartę pokładową.

o

N

1

Międzylądowanie w Londynie, jedyne na terenie Europy, trwało blisko trzy kwadranse, a potem samolot wzbił się na najwyższy pułap, lecąc nad Atlantykiem. Była szósta trzydzieści rano dwudziestego czerwca 1988 roku. Podążaliśmy w ślad za słońcem, które świeciło nam prosto w oczy, tak że musieliśmy spuścić żaluzje.

Wspomniałem już, że na tę podróż zanosilo się od dawna, lecz zawsze był jakiś powód, żeby odłożyć ją na później. Aż oto wreszcie, podjąwszy dość pośpiesznie decyzję, znalazłem się na pokładzie samolotu, który unosił mnie do Chile.

Wyciągnąłem nogi, opuściłem oparcie i jałem rozpamiętywać zdarzenia, które sprawiły, że niespełna cztery dni temu powiedziałem sobie: „Jadę”.

Wszystko zaczęło się szesnastego czerwca, tuż przed południem.

Siedziałem w biurze razem z trzema współpracownikami. .. Ale zanim opowiem, co się działo dalej, powinienem wyjaśnić, co to za biuro i kim są moi współpracownicy.

To dwaj Niemcy i jedna Holenderka — niezależni dziennikarze, podobnie jak ja. Pewnego dnia stwierdziliśmy, że dość już mamy pisanie do „poważnej” I misy, która interesuje się zagadnieniami ochrony śró-lowiska

naturalnego jedynie wtedy, gdy mają posmak kandalu. Zetknął nas ze sobą szczęśliwy traf — spojiliśmy się, pogadaliśmy i odkryliśmy, że wszyscy •de/uwamy to samo zniechęcenie i podobnie patrzemy na pewne sprawy. Z tej przypadkowej rozmowy zrodził się pomysł założenia alternatywnej agencji informacyjnej. Zajmujemy się problemami gnębiącymi ekologów oraz demaskowaniem kłamstw, do jakich uciekają się państwa bogate, aby usprawiedliwić rabunek państw biednych, okradanych nie tylko z surowców, ale i z własnej przyszłości. Dlaczego z przyszłości? — zapytacie. Spójrzmy na to tak: kiedy jakiś bogaty kraj składowuje odpady chemiczne lub radioaktywne w kraju biednym, kradnie przyszłość jego mieszkańców — no bo skoro odpady te są „nieszkodliwe”, to dlaczego nie trzyma ich u siebie?

Nasze biuro mieści się w hali wynajętej w dawnej fabryce śrubek i zajmuje powierzchnię siedemdziesięciu metrów kwadratowych. Mamy cztery biurka, używany komputer, podłączony do banku danych z informacjami o stanie środowiska naturalnego, a także telefon i faks, które łączą nas z innymi niezależnymi agencjami w Holandii, Hiszpanii i Francji oraz różnymi organizacjami ekologicznymi, jak Greenpeace, Comunidad czy Robin Wood.

Komputer bywa niekiedy naszym piątym współnikiem. Na cześć informatora detektywa Pepe Carvalho nazwaliśmy go Bromkiem. Tamtego ranka analizowaliśmy założenia planu, który opracowało brytyjskie Ministerstwo Przemysłu, żeby usprawiedliwić spalanie odpadów toksycznych u wejścia do Zatoki Biskajskiej.

Wtedy właśnie nadszedł faks z Chile. I tak zaczęła się moja podróż.

Puerto Montt, 15 czerwca 1988, godz. 17.45 Pod eskortą holowników

chilijskiej marynarki wojennej do portu zawinął statek przetwórnia „Nishin Mani”, pływający pod japońską banderą. Kapitan Toshiro Tanifuji zameldował o zaginięciu osiemnastu marynarzy w okolicy Cieśniny Magellana. Nieznana jest liczba rannych przewiezionych do szpitala wojskowego. Władze chilijskie wydały zakaz publikacji powyższych faktów. Proszę niezwłocznie zawiadomić organizacje ekologiczne. Koniec.

Wiadomość była podpisana przez Saritę Diaz, chilijską dziewczynę, która bawiąc przejazdem w Hamburgu, dowiedziała się o naszej działalności i zgłosiła jako korespondentka w Chile. Trzeba zaznaczyć, że jest to nasza jedyna korespondentka zagraniczna.

Natychmiast wpisaliśmy do komputera dane statku i nazwisko kapitana. Bromek zamrugał swoim cyklo-pim okiem i oświadczył, że bardzo mu przykro, ale na ten temat nie ma żadnych informacji.

Wobec tego podłączyliśmy Bromka do banku danych Greenpeace. Po kilku minutach nadeszła zagadkowa odpowiedź:

„Nishin Maru”: statek przetwórnia, zbudowany w stoczni w Bremie w 1974; port macierzysty: Jokohama; wyporność: 23 000 ton; długość kadłuba: 86 metrów; szerokość: 28 metrów; cztery pokłady; załoga: 117 osób, w tym oficerowie, lekarz, marynarze, harpunnicy, pracownicy przetwórnicy; kapitan: Toshiro Tanifuji (sam siebie nazywa Rekinem Południowego Pacyfiku). Aktualny kurs: według danych oddziału Greenpeace w Tokio od połowy maja pływa w okolicach Mauritiusa. Koniec przekazu.

Bromek szybko łykał i przetwarzał dane. Ktoś z nas wspomniał o statku widmie, ale nie zdążył skończyć, bo odezwał się telefon.

Dzwoniła Arianne, rzeczniczka prasowa Greenpeace.

— Cześć. Przyszłam właśnie do biura i dowiedziałam się o Chile. Musimy pogadać. To chyba jakaś grubsza afera. Wpadnij zaraz do mnie, jeśli możesz.

Siedziba Greenpeace mieści się niedaleko naszego biura. Wystarczy, idąc brzegiem Łaby, minąć kilka przecznic, i jest się na miejscu. Arianne przyjęła mnie dzbankiem kawy. Była kłębkim nerwów.

— Dopiął swego... o mój Boże! Nie wiem jak, ale to zrobił. To straszne, straszne!

— Spokojnie... Kto dopiął i czego? I co, u diabła, jest takie straszne? Mów po kolei.

— Wybacz, ale stało się coś, co przekracza ludzkie pojęcie. Zaraz ci wszystko opowiem. Zacznę od naszego tajnego raportu. Zwykle nie ujawniamy takich rzeczy; czy przed akcją, ale tym razem... Posłuchaj zresztą: „Santiago, drugi maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Rząd chilijski udziela rocznej licencji na połów pięćdziesięciu wielorybów błękitnych dla celów naukowych. Fakt ten utrzymywany jest w tajemnicy przez władze”. Co ty na to?

— Japończycy! Aż się prosi... Zapewne byli hojni dla chilijskich generałów. To oczywiste, że oczekują rewanżu.

— Zgoda, idźmy dalej. Jak tylko dowiedzieliśmy się o tej licencji na zabijanie, sprzecznej zresztą z moratorium ogłoszonym w osiemdziesiątym szóstym roku przez Międzynarodową Komisję Wielorybniczą, zaczęliśmy gromadzić dane w celu ujawnienia sprawy. Szczegóły wydanego przez Chilijczyków pozwolenia nie są na razie

znane. Nie wiadomo, od kiedy jest ważne i na kogo wystawione.

Rzuciliśmy się w wir pracy, aż tu nadchodzi z Kanady raport Farleya Mowata... to ten spec od biologii morza, o wielorybach wie wszystko... I nagle okazuje się, że nasza akcja wcale nie jest aż tak pilna. Masz, przeczytaj sobie. Píše, że o tej porze roku migracja wielorybów błękitnych na północny zachód od koła podbiegunowego jest mało prawdopodobna. Meteorolodzy przewidują na Antarktydzie wczesną zimą. W połowie czerwca Mor/c Weddella będzie niedostępne nawet dla Uulolamac/y i tylko pojedyncze sztuki, słabe albo chore, mogą się zabłąkać w okolicy Szetlandów. Z raportu Mowata wynika, że na chilijskich wodach wieloryby błękitne nie pojawią się przynajmniej do października. Odetchnęliśmy z ulgą, bo zyskujemy na czasie i możemy lepiej przygotować się do akcji, ale (i to jest właśnie to „ale”, które mnie tak niepokoi) dwudziestego ósmego maja mieliśmy tajemniczy telefon z Chile. Dzwonił jakiś mężczyzna. Rozmawialiśmy po angielsku. Typowy marynarz, wiesz, o czym mówię: przedstawił sprawę krótko i jasno. Zaskoczył nas informacją, że w zatoce Corcovado, sto pięćdziesiąt mil na południe od Puerto Montt, widziano „Nishin Mara” z załogą w komplecie. A z „Nishin Maru” znamy się nie od dzisiaj...

Greenpeace i „Nishin Maru” poznali się w grudniu 1987 roku i nie była to miłość od pierwszego wejrzenia.

Tego roku Japończycy z niewyjaśnionych powodów zbojkotowali głosowanie na plenum Międzynarodowej Komisji Wielorybniczej, a mimo to uzyskali, ku ogólnemu zaskoczeniu, zezwolenie na połów na wodach antarktycznych trzystu wali karłowatych w celu „przeprowadzenia prac

badawczych".

Tymczasem ustawodawstwo międzynarodowe zezwala na odstrzał jedynie dwóch sztuk rocznie, a od czasu moratorium z roku 1986 żadne konsorcjum wielo rybnicze nie umiało sprecyzować intencji, które miałyby przyświecać zainteresowaniom badawczym.

Zdobywszy zatem podstępem upragnioną licencję, /aloga „Nishin Maru” natychmiast zawróciła swój sta-tok ku Antarktydzie i wszystko zdawało się wskazywać na to, że nic i nikt nie zdoła powstrzymać zagłady cmącego gatunku.

Na szczęście stało się inaczej, zaledwie bowiem kapitan Toshiro Tanifuji podniósł kotwicę, organizacje ekologiczne ogłosiły powszechną mobilizację. I tak, rankiem dwudziestego pierwszego grudnia 1987 roku, cztery szybkie zodiaki pływające pod banderą Tęczy zablokowały — za pomocą nadmuchiwanego wieloryba naturalnej wielkości — wyjście z kei Mitsubishi w Jokoha-mie. Kapitan Tanifuji, pewny, że z łatwością zmiażdży gumowego walenia, ani myślał zbaczać z wyznaczonego kursu, ale zodiaki krążyły wokół jego statku jak stado wściekłych wodnych os, udaremniając mu każdy ruch i wszelkie próby odbicia od brzegu.

Chodziło o to, by zyskać na czasie. Zodiaki uprzykrzały życie japońskiemu kolosowi w Jokohamie, a we wszystkich stolicach Europy działacze Greenpeace szturmowali ministerialne gabinety, domagając się odwołania decyzji.

Akcja trwała blisko trzydzieści godzin. Zodiaki zmieniały się co jakiś czas, aby uzupełnić paliwo, a załoga wypijała przygotowany naprędcę grog.

Kapitan „Nishin Maru” nie zdecydował się staranować łodzi ekologów.

Dwudziestego drugiego grudnia o trzeciej po południu bezkrwawa bitwa

została wygrana — Międzynarodowa Komisja Wielorybnicza cofnęła licencję i zaleciła Japonii przestrzeganie moratorium z 1986 roku.

Na miejscu wydarzeń był mój przyjaciel z Nowej Zelandii, Bruce Adams. Opowiadał mi, jak ze skostniałymi z zimna rękami skierował zodiaka na sterbur-tę „Nishin Maru” i zażądał rozmowy z kapitanem.

Toshiro Tanifuji wychylił się przez reling.

— Przegrał pan bitwę, kapitanie — oznajmił wówczas Bruce. —

Uprzedzam, że jeżeli spróbujecie wypłynąć w stronę Antarktydy, oskarżymy pana o pogwałcenie międzynarodowej konwencji ochrony zasobów morskich.

Tanifuji odpowiedział przez megafon:

— Wasze działania są nielegalne. Utrudnianie żeglugi jest równoznaczne z aktem piractwa. Mogę staranować te łodzie, prawo jest po mojej stronie. Mam gdzieś waszą banderę! Tęczę wolę oglądać na niebie. Ostrzegam, następnym razem nic mnie nie powstrzyma.

— Mam nadzieję, że nie będzie następnego razu. A gdyby... to zjawimy się tu znowu. Polowanie na wieloryby jest nielegalne.

— Zapewniam was, że będzie następny raz. Będę zabijał wieloryby w majestacie prawa. Wy i ja mamy ze sobą wiele wspólnego. Ja też jestem marzycielem... marzę o polowaniu na wieloryby.

— A nam się marzy wolne morze, gdzie wszystkie gatunki zwierząt będą mogły swobodnie żyć i rozmnażać się w spokoju, bez lęku przed człowiekiem.

Tanifuji dał znak i z pokładu statku runął na zodiaka wodospad śmieci.

Tak, Greenpeace i „Nishin Maru” znajdują się nie od dzisiaj...

— Od razu widać, że to energiczny gość — ciągnęła Arianne. — Kiedy

powiedziałam, że według naszych informacji „Nishin Maru” znajduje się w tej chwili daleko od wybrzeży Chile, odparł, że to zasłona dymna dla zmylenia przeciwnika. Na koniec, chcąc go uspokoić, zacytowałam raport Mowata, ale zaraz mi przerwał: „Ja też się znam na wielorybach.

Tanifujemiu wcale nie chodzi o płetwale i nie ma zamiaru pchać się za koło podbiegunowe. Szuka grindwali, czy jak je tam, u diabła, nazywacie w Europie”.

Arianne dała mi nowe zadanie dla Bromka.

(iriułwał, (Hohicphala melanea, znany też jako calderón, schwar wal, /><iln<i<l, blackfisli, chadwn. Gatunek z rodziny delfinów. Zwierzę o potężnym ciele i małej zaokrąglonej głowie; długość: od czterech do siedmiu metrów; samce większe od samic; od siedmiu do dwunastu par zębów w każdej szczęce. Ciąża grindwali trwa od piętnastu do szesnastu miesięcy; młode zaraz po urodzeniu osiągają ponad półtora metra długości; przez dwadzieścia miesięcy żywią się mlekiem matki. Główny pokarm dorosłych osobników stanowią kalamarnice. Grindwale są przyjazne i ufne. Odkryto też, iż porozumiewają się między sobą za pomocą kodu złożonego z ponad siedemdziesięciu znaków. W wodach północnego Atlantyku są gatunkiem ginącym, wytrzebionym wskutek masowych połowów, dokonywanych przez Rosjan, Norwegów i Islandczyków. W latach 1975-1977 zaobserwowano migrację pojedynczych sztuk na półkulę południową. Obecnie kilkaset osobników znalazło schronienie na południowym Pacyfiku, na północ od Cieśniny Magellana. Zauważono ostatnio, że grindwale z rejonów sub-antarktycznych opuściły swoje tradycyjne środowisko otwartych mórz, aby skupić się w zatokach, kanałach i ujściach fiordów. Międzynarodowa

Komisja Wielorybnicza surowo zabrania ich połowu i ogłosiła Globicephala melanea gatunkiem zagrożonym całkowitym wymarciem.

Arianne dołała kawy i mówiła dalej:

— Zapytałam, czy może podać jakieś fakty na potwierdzenie swoich słów.

A on na to: „Jestem człowiekiem morza. Smród wyczuję na milę.

Pomożecie mi czy nie?" Nie wiedziałam, co powiedzieć, ale nie straciłam głowy. Poprosiłam, żeby był z nami w kontakcie. Żąda od nas rzeczy niemożliwych. Nie działamy w tamtym rejonie. Wiesz przecież, jak mała jest nasza flota.

Arianne jak zawsze miała rację.

Organizacja przygotowywała właśnie do rejsu statek „Gondwana”, który udawał się w rejon Antarktydy na wizytację baz zakładanych tam przez różne państwa. Celem wyprawy było uzmysłowienie polarnikom potrzeby stworzenia na tym obszarze wielkiego rezerwatu przyrody, dziedzictwa całej ludzkości. Pozwoli to zapobiec przekształceniu Białego Kontynentu w nuklearny i chemiczny śmietnik, co już planują kraje, które chcą się pozbyć toksycznych odpadów. Ale „Gondwana” nie będzie gotowa na koniec sierpnia.

„Moby Dick” również znajdował się w naprawie, a po opuszczeniu suchego doku w Bremie miał się skierować na północny Atlantyk, by powstrzymać masakrę wielorybów, jakiej co roku dokonują tam statki norweskie, szwedzkie, duńskie, islandzkie, amerykańskie i rosyjskie, poprzebierane w tanie bandery, żeby móc bezkarnie łamać prawo.

„Syriusz” żeglował po Morzu Śródziemnym, żeby nie dopuścić do przemiany tej kolebki cywilizacji w gigantyczną kloakę i zalania nieszczęsnych wód przez trujące ścieki.

„Greenpeace” operował u atlantyckich wybrzeży Stanów Zjednoczonych, prowadząc kampanię na rzecz utworzenia strefy wolnej od broni i ładunków nuklearnych, a „Bieługa”, ów niestrudzony pływający skrzat, przemierzała arterie wodne starego kontynentu, blokując spuszczenie ścieków chemicznych do rzek.

Tak, była to maleńka flota, samotna wobec ogromu współczesnego barbarzyństwa.

Jakże brakowało nam starego, poczciwego „Rain-bow Warrior” — flagowego okrętu Tęczy...

Dziesiątego lipca 1985 roku, na kwadrans przed północą, w porcie Auckland na Nowej Zelandii, dwie potężne bomby, podłożone pod kadłub statku przez pławonurków z francuskich tajnych służb, poczyniły w nim śmiertelne wyrwy. Te same bomby zabiły portugalskiego ekologa, Fernanda Pereirę, który znajdował się wówczas na pokładzie.

Wysłuzony „Rainbow Warrior” stoczył wiele pokojowych bitew na wodach Południa, demaskując bezsens prób nuklearnych na atolu Mururoa, a w końcu padł ofiarą nikczemnego aktu terroryzmu, dokonanego za cichą zgodą rządu francuskiego.

Nie ma nic piękniejszego niż zagłowiec prujący w ciszy lale. W takiej samej ciszy, w grudniu 1985 ro-

ku, przyjaciele, którzy zjechali tu z całego świata, odholowali uśpiony „Rainbow Warrior” do zatoki Ma-tauri u wybrzeży Nowej Zelandii i w maoryskiej ceremonii spuścili go w morskie głębiny, w otchłań słonych wód, gdzie na zawsze połączył się z życiem, o które walczył.

— „Skoro wy nie możecie mi pomóc, będę musiał działać sam”, to jego ostatnie słowa — zakończyła Arienne.

— Mściciel mórz... Co jeszcze o nim wiesz?

— Zapomniałam ci powiedzieć... Nazywa się Jorge Nilssen. Wspominał też coś o statku... „Finisterre”. Oddaje go nam do dyspozycji. Co robić?

— Czekać. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

— Obawiam się, że to wszystko prawda. O mój Boże, zaginęło osiemnastu marynarzy! Mówię ci, że za tą historią kryje się jakaś potworna tragedia.

Arianne znowu miała rację. Wiedzieliśmy niewiele, ale coś nam tu śmierdziało. Tak zresztą bywa zawsze, gdy w grę wchodzi interesy.

Opuściłem siedzibę Greenpeace pełen nieokreślonych obaw. Przed powrotem do biura postanowiłem przejść się trochę po porcie.

Jorge Nilssen. „Finisterre”. Piękne imię dla statku poszukiwacza przygód.

Wędrowałem ulicami Hamburga, a myślami błądziłem po lodowatych wodach Południa. Wokół mnie szalał żywioł rozwścieczonego morza, a na horyzoncie, poprzecinanym grzbietami fal, widziałem człowieka imieniem Jorge Nilssen, zmagającego się samotnie z olbrzymim japońskim statkiem.

Chciałem doń zawołać, ostrzec, że stalowy kolos go zmiążdży, lecz on odwrócił się do mnie i powiedział słowami Lautréamonta:

„Powiedz mi więc, czyś jest siedzibą księcia ciemności. Powiedz mi to... powiedz, oceanie (mnie jednemu, żeby nie smucić tych, co dotąd żyją tylko złudzeniami), i czy oddech Szatana wznieca burze podnoszące twe słone wody aż do chmur. Musisz mi to powiedzieć, gdyż uradowałaby mnie wiadomość, że piekło jest tak blisko człowieka”*

Wróciłem do biura i po krótkiej dyskusji postanowiliśmy, że zajmę się tą sprawą.

Dręczyła mnie myśl, że wiem zbyt mało, a mój niepokój wzmożła depesza, która nadeszła o ósmej wieczorem.

Tokio, 16 czerwca 1988

Statek przetwórnia „Nishin Maru” płynie w stronę portu Toamasina na Madagaskarze. Informacja z kapitanatu portu Jokohama.

Greenpeace, Tokio. Koniec.

Przeklęty statek widmo, który zjawia się w dwóch miejscach naraz!

Bromek łyknął ostatnie wieści, po czym wybałuszył na mnie swe jedyne oko, jakby chciał powiedzieć: „I co ja mam z tym zrobić?”

O północy nie mogłem już patrzeć na kawę. Otworzyłem okno. Powietrze było rześkie, a w dole toczyła mętne wody Łaba. Wtem przy nabrzeżu, po drugiej stronie rzeki, zabłyśły reflektory i z ciemności wypłynął holownik, ciągnąc za sobą jakiś wrak. Chwyciłem lornetkę, by przyjrzeć się statkowi wyruszającemu w swój pożegnalny rejs. Na rufie wciąż jeszcze można było odczytać nazwę „Łazarz”, a poniżej skorodowane, łuszczące się litery wskazywały jego ostatni port macierzysty — Santos.

Płynące na złomowisko statki stanowią przejmujący widok. Mają w sobie coś z olbrzymiego rannego

* LautrcaniKui 1'icśni Maldorora, przeł. Maciej Żurowski.

|

zwierzęcia, wleczonego na cmentarzysko. Na rufie „Łazarza” zwisały strzępy brazylijskiej bandery, a ja pomyślałem, że historia tego wraku niewiele się różni od innych opowieści krążących po tawernach Hamburga.

Kiedy czas i morze czynią ze statków pływający złom, armatorzy wycofują je z linii żeglugowych i sprzedają emerytowanym kapitanom, którzy nie chcą osiąść na lądzie. Statek przestaje wówczas być frachtowcem lub drobnicowcem i przeobraża się w trampa — portowego

włóczęgę pod tanią banderą, który bez zbędnych pytań przewiezie za grosze każdy ładunek, obojętne skąd i dokąd.

Takim właśnie trampem był zapewne „Łazarz”. Prawdopodobnie nie przeszedł ostatniej kontroli technicznej w Hamburgu i nie uzyskał zgody na żeglugę Łabą do Cuxhaven. Kapitan miał do wyboru: zapłacić słono za daremną naprawę albo posłać statek na złom.

Los „Łazarza” poruszył we mnie jakąś strunę. W zakamarkach pamięci zabłyśło nikle światełko... Chwyciłem notes z adresami. Odszukałem numer telefonu Char-ly'ego Cuevasa, Portorykańczyka, który podobnie jak ja nie ufał „poważnym” gazetom.

— Charly? Przepraszam, że dzwonię o tej porze, ale potrzebuję twojej rady.

— Wal śmiało. Właśnie otworzyłem poradnię.

— Przeczytałem niedawno twój artykuł o złomowiskach na Timorze. Ten, w którym piszesz, że tamtejsi robotnicy są opłacani najgorzej na świecie... Sępy z Okusei, jeśli dobrze pamiętam. Zostały ci jakieś notatki, dane, cokolwiek?

— Cieszę się, że mam wiernych czytelników. Co wywęszyłeś?

— Trudno powiedzieć. Ale może masz coś o statkach, które w ciągu ostatnich kilku lat poszły na /łom?

To długa lista. Podaj mi nazwę i banderę.

i

— „Nishin Maru”, Japonia.

Charly kazał mi uzbroić się w cierpliwość. Słyszałem, jak wystukuje coś na komputerze. Po chwili znów był przy telefonie.

— Faktycznie. Mam go. „Nishin Maru”, jednostka przeznaczona do

połowu i przetwórstwa wielorybów na skalę przemysłową. Zbudowany w Bremie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku.

Zarejestrowany w Jokohamie. Pewnie już został przerobiony na ekspresy do kawy i tostery, bo rozebrano go w styczniu zeszłego roku.

— Jesteś pewien?

— Na tym świecie nie ma nic pewnego. Dane, którymi dysponuję, zwędziłem z biura Timor Metal Corporation. No więc, to się robi tak: armator mówi, że ma łajbę, która już nie trzyma się na wodzie, zgłasza się do Okusei, dostarcza wrak, a ci, jak ich tam zwą... Timorowie?... no, wiesz, mieszkańcy Timoru... nieważne... rozbierają statek na kawałki w rekordowym czasie. Armator dostaje świadectwo zgonu, a na dodatek pięćdziesiąt procent wartości uzyskanego metalu.

— Poczekaj chwilę. Jest jakiś sposób, żeby sprawdzić, czy rozmontowany statek to ten sam, który pływał pod daną banderą i nazwą?

— Zrobiłeś doktorat z naiwności? Jeżeli armator posyła łajbę na Timor i mówi, że to „Titanic”, wystawią mu rachunek z wyszczególnieniem, ile ton surowca wtórnego otrzymali z „Titanica”. To kraj tak biedny, że nie stać go na wątpliwości.

— A ten Timor Metal do kogo należy?

— Chwilunia... niech popatrzę. Mam! Głównym akcjonariuszem jest konsorcjum japońskie zajmujące się wykorzystaniem zasobów morskich. Sprawa śmierdziała na odległość.

Japończycy znaleźli sposób na nielegalny połów wielorybów. „Nishin Maru” istotnie płynął na Madagaskar, jak był i » » „Nishin Maru II”. Jego imien-

nik, będący na papierze kupą złomu (co stwierdzał wystawiony przez

władze Timoru dokument), mógł pływać do woli po morzach Południa z bezkarnością statku widma.

Już miałem wykręcić numer biura Arianne, lecz w tym samym momencie odezwał się mój telefon. I jak tu nie wierzyć w telepatię!

— Dobrze, że jesteś. Przed chwilą zgłosił się mściciel. Zadzwoń znowu. Przyjdź zaraz.

Gdy wszedłem, Arianne trzymała w ręku dzbanek kawy, który dyskretnie usunęła, widząc grymas obrzydzenia na mojej twarzy. Wskazała na magnetofon.

— Podłączyłam go do telefonu. Sam posłuchaj i wyciągnij wnioski — powiedziała i otworzyła butelkę wody mineralnej.

Puściłem taśmę. Rozmowa toczyła się po angielsku. Odruchowo, wiedziony zawodowym nawykiem, zanotowałem jej przebieg.

Nilssen: Halo! Greenpeace? Tu Jorge Nilssen z Chile.

Arianne: Słucham pana. Co się stało? Podobno zaginęło osiemnastu marynarzy.

Nilssen: Widzę, że wieści rozchodzą się lotem błyskawicy. Skąd wiecie? Zresztą, wszystko jedno. Tak. Zaginęło osiemnastu członków załogi, a „Nishin Maru” o mało co nie poszedł na dno.

Arianne: To straszne. Nie wiem, jak pan to zrobił, ale proszę przyjąć do wiadomości, że my nie stosujemy takich metod. Potępiamy wszelkie formy przemocy. Nie pomyślał pan, co się stanie, jeżeli posądzą nas o współudział?

Nilssen: Proszę mi wierzyć, że bardzo mi przykro z powodu tych marynarzy, sam jestem człowiekiem morza... Ale nic nie mogłem zrobić. Za tę tragedię odpowiedzialny jest wyłącznie kapitan Tanifuji. Niech się

pani nie martwi! Prawda nigdy nie wyjdzie na jaw. Tym, którzy przeżyli, Japońcy/wy /ainkną usta paroma tysiącami zielonych, a jeżeli ktoś kiedyś zacznie o tym mówić, wezmą go za wariata.

Arianne: Proszę, niech pan powie, co się stało z „Nishin Maru”.

Nilssen: Nie uwierzy mi pani. Pomyślcie, że brak mi piątej klepki. To trzeba zobaczyć na własne oczy, i to teraz, dopóki jest co oglądać. Brak mi słów, żeby to opisać. Niech pani przyjedzie sama albo kogoś przyśle. Chętnie oprowadzę was po moich morzach.

Arianne: Musimy poznać fakty, panie Nilssen. Czy mógłby pan porozumieć się z nami w jakiś inny sposób? Chce pan rozmawiać z dziennikarzem, który zna hiszpański? To nasz przyjaciel, można mu wierzyć.

Nilssen: Nic więcej wam nie powiem. Ale dobrze, niech będzie.

Zadzwońię za trzy godziny. Do usłyszenia.

Koniec nagrania. Głos Nilssena, stanowczy i strapiony zarazem, nie pozwalał określić wieku naszego rozmówcy.

— No i co? — zapytała Arianne.

— Pogadam z nim... o ile znów się odezwie.

— Nie wiem, co o tym myśleć. Oddział w Tokio twierdzi, że „Nishin Maru” zbliża się do Madagaskaru.

— Owszem, ale to nie jest nasz „Nishin Maru”. Przekazałem jej wszystko, czego się dowiedziałem, i wspólnie doszliśmy do tego samego wniosku.

— A więc wyrzucają na śmietnik nowy statek, chrzczą go jego dawnym imieniem, z dokumentami w garści ogłaszają wszem wobec, że już nie

istnieje, bo został pocięty na złom na Timorze, a organy kontrolne zajmujące się połowem wielorybów sądzą, że mają do czynienia tylko z jednym „Nishin Maru”, podczas gdy nieistniejący statek bez przeszkód pustoszy morza. Wyobrażam sobie, jakie łapówki płacą w każdym porcie, żeby nie zostawić śladów w rejestrach kapitanatu! Jeżeli uda nam się zebrać dowody, ujawnimy skandal stulecia. Szkoda, że mamy tylko jednego świmlka.

— Dwóch, Arianne. Mamy dwóch świadków.

— Nilssen o nikim nie mówił.

— Ale ja ci mówię! Sarita Diaz, korespondentka, która przysłała nam teleks. Ona widziała „Nishin Mam”.

Puerto Montt pamiętam jak przez mgłę. Dla mnie było to miasto, w którym kiedyś wysiadłem z pociągu, by rozpocząć moją pierwszą prawdziwą wyprawę na południe. Ale zachowane w pamięci strzępki obrazów wystarczyły, bym oczyma wyobraźni ujrzał Saritę idącą przez molo, chłostane wiatrem i uderzeniami fal. W moim fachu niezbędny jest szósty zmysł. U wielu dziennikarzy wykształcają się z czasem niewidzialne anteny, wrażliwe jak czułki langusty. I teraz właśnie bardzo mi się przydały. Poczulem, że Sa-ricie grozi niebezpieczeństwo.

Chwyciłem za telefon i wykręciłem długi ciąg cyfr.

Czekając na połączenie z Chile, obliczyłem różnicę czasu. W Hamburgu był już siedemnasty czerwca, druga nad ranem. Tam dochodzi dziewiąta wieczorem poprzedniego dnia, a ponieważ mieszkańcy Puerto Montt mają zwyczaj wcześniej chodzić spać, może zastanę Saritę w domu.

W słuchawce odezwał się kobiecy głos, ale natychmiast zastąpił go inny, niewątpliwie męski.

— Kto mówi?

— Jestem znajomym Sarity, dzwonię z Niemiec. Czy mogę z nią rozmawiać?

— Zostawcie moją córkę w spokoju! — krzyknął mężczyzna i przerwał połączenie.

Stojąc ze słuchawką w ręku, pomyślałem, że nie jest dobrze. Coraz bardziej mi się to wszystko nie podobało.

Przypomniałem sobie spotkanie z Saritą w Hamburgu.

„To co, weźmiecie mnie na korespondenta?”

„Nie możemy ci płacić. Przynajmniej na razie”.

„Nieważne. Ale, proszę, nie zostawiajcie mnie samej tam na końcu świata...”

Sarita ma kłopoty... Nie wiedziałem jakie, byłem jednak pewien, że ludzie gotowi pływać statkiem, którego certyfikat jest świadectwem zgonu, zdolni są do wszystkiego.

Do telefonu Nilssena pozostała mniej więcej godzina. Zadzwoiłem do moich współników i ustaliliśmy, że spotkamy się w biurze o piątej rano. Resztę czasu spędziłem na rozmyślaniach o Japończykach.

8

Japończycy... Czasami bardzo trudno jest uniknąć pułapek nietolerancji. Gdy raz wpadniemy w jej sidła, zaczynamy uogólniać, wrzucać wszystkich mieszkańców jakiegoś kraju do jednego worka.

W Japonii istnieje silny ruch ekologiczny. Tamtejsi obrońcy przyrody często ryzykują życie, bo rekiny tego świata nie uznają dialogu ani legalnych działań, a kiedy już się na nie godzą, traktują je jako zasłonę dymną dla swoich prawdziwych poczynań.

Zaznaczyć należy, iż nie tylko Japończycy prowadzą grę podwójnej moralności, tak powszechną w świecie rządzonym prawami rynku. Japonia jest jednym z siedmiu najbogatszych krajów i trudnym negocjatorem, można by też pomyśleć, że ma patent na piractwo. Oto wszystkie narody Europy, większość państw Czarnego Lądu, Stany Zjednoczone i Związek Radziecki potępiają odstrzał słoni w Afryce i dostrzegają groźbę zagłady wis/ucą nad szarymi olbrzymami. Czemu więc nikt nie potępi Japonii inspiratora tych polo-

wań i największego na świecie nabywcy kłów? Nie trzeba dodawać, iż kraj ten kontroluje rynek owego cennego surowca, będąc jego głównym dostawcą do Europy, Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego. A do czego służy kość słoniowa? Cała jej użyteczność sprowadza się do wyrobu zbytkownych przedmiotów, przy czym talent takiej na przykład Palomy O'Shea albo Claudia Arraua na pewno nie dozna uszczerbku, jeśli pianiści owi zasiądą do fortepianu, którego klawiaturę wykonano z innego niż kość słoniowa materiału. Nadal bowiem będą doskonalić interpretację muzyki Mozarta i Scarlattiego, ale już nie za cenę życia afrykańskich kolosów. Czyż dla marnych czterdziestu kilogramów kłów warto zabijać zwierzę ważące sześć lub osiem ton?

Degradacja środowiska naturalnego, owo powolne uśmiercanie naszej planety, nie ogranicza się do masakry słoni i wielorybów. Zbrodnię tę sankcjonuje irracjonalna wizja nauki i postępu. Czyżby więc jedynym dziedzictwem ludzkości było szaleństwo? Wróćmy jednak do wielorybów. Dlaczego je zabijamy? Żeby kilkoma półmiskami smakowitych dań ożywić kulinarną monotonię naszej diety? Bo przecież znaczenie waleni w przemyśle kosmetycznym należy już do przeszłości. Jeżeli środki wydane

na uzyskanie jednego litra tranu wielo-rybiego zainwestujemy w rozwój produkcji tłuszczów roślinnych, otrzymamy dwadzieścia litrów oleju o podobnych właściwościach. I pomyśleć, że są jeszcze zwolennicy tak zwanego modernizmu, którzy na łamach europejskich gazet znajdują poklask dla idei ośmieszających wysiłki obrońców przyrody, zwanych przez nich „ekolatrami”, a rozumowanie głupca, który chcąc się ogrzać, pali własny dom, usiłują podnieść do rangi nowej etyki. „Gardzę tym, czego nie znam” — oto osobliwe hasło owych filozofów destrukcji.

9

Jorge Nilssen był punktualny.

— Nie. Nie mogę opowiedzieć o tym przez telefon. Jeśli chce pan poznać fakty, proszę przyjechać tutaj. Zapraszam w rejs po moich morzach. Mam statek, „Finisterre”... Jest na pańskie usługi.

— To zbyt daleka podróż... na drugi koniec świata. Proszę mi podać swój numer, a ja oddzwonię. W ten sposób nie będzie pan narażony na koszty i będziemy mogli porozmawiać, nie patrząc co chwila na zegarek.

— Dzwonię z poczty. To cud, że w ogóle mamy połączenie. Pan pochodzi z Chile, jak się domyślam...

— Tak. Tam się urodziłem.

— Niech się pan nie przejmuj, mogło być gorzej. Przyjeżdża pan czy nie?

— Proszę mnie posłuchać, panie Nilssen. Podam panu numer telefonu do dziennikarki z Puerto Montt...

— Do Sary Diaz?

— Zna ją pan?

— Nie. Ale obawiam się, że mam dla pana złe wieści. Dzisiaj rano dowiedziałem się o zamachu na jakąś reporterkę. Potrafił ją samochód,

kiedy wychodziła ze studia fotograficznego. Coś jej skradziono, nie mam pojęcia co... Przepuszczam, że to ta sama dziewczyna, którą widziałem wczoraj wieczorem. Robiła zdjęcia „Nishin Mara” w stoczni marynarki wojennej. Biedactwo... Leży w szpitalu, cała połamana. Przyjeżdża pan? No tak... Wszystko jasne. Odegrali się na Saricie za to, że przekazywała nam informacje. Nie możemy jej tak zostawić!

— Tak. Wyjadę, gdy tylko będę mógł. Jak się z panem skontaktuję?

— Zachowajmy spokój. Niech się pan nie martwi o dziewczynę. Zabiorę ją w bezpieczne miejsce. Umówmy się między dziewiętnastym a dwudziestym trzecim czerwca. Proszę przylecieć do Santiago. Tam będzie na

pana czekał bilet do Puerto Montt. Potem uda się pan na przystań San Rafael, naprzeciw wyspy Calbuco, i zapyta o „Szalonego Ptaka”. To kuter, kursuje po kanale. Tam się spotkamy.

Dalej wszystko potoczyło się szybko. Moi współpracownicy uznali, że powinienem jechać. Greenpeace wydał oświadczenie, iż zamierza przeprowadzić śledztwo w sprawie zaginionych marynarzy z „Nishin Mam”. Nazajutrz miałem bilet w kieszeni.

Na lotnisku mój najstarszy syn zamówił u mnie wielką muszlę — „żeby usłyszał, jak szumi twoje morze”, powiedział — Arianne zaś wręczyła mi proporczyk organizacji. Przedstawiał zanurzający się w falach ogon wieloryba.

— Witaj w Tęczy i powodzenia!

Czyjaś dłoń potrząsa mnie delikatnie za ramię. To stewardesa. Pyta, czy życzę sobie słuchawki.

— Słuchawki?

— Będzie film.

— Jaki? Przepraszam, jestem trochę zaspany.

— Piraci Romana Polańskiego — odpowiada z najpiękniejszym ze swoich uśmiechów.

A więc w drogę! Na spotkanie z tobą, świecie na końcu świata. Kto wie, co mnie tam czeka...

CZEŚĆ TRZECIA

1

We wtorek, dwudziestego pierwszego czerwca, wysiadłem wieczorem z samolotu lokalnych linii lotniczych w Puerto Montt. Porządnie czułem w kościach ponad-trzydziestogodziną podróż z Hamburga do Santiago przez Londyn, Nowy Jork, Bogotę, Quito i Limę.

Podczas lotu wiele myślałem o powrocie do Chile — tak długo przecież zwlekałem z decyzją, powstrzymywany obawą, iż ujrzę kraj całkowicie odmienny od tego, który zachowałem w pamięci jako szlachetną, pocziwą ziemię pierwszej miłości, niezapomniany dom mego dzieciństwa.

Jestem jednym z wielu, którzy przeżyli koszmar więzienia i zbiegli przed szalejącym terrorem, aby na ziemi niczyjej uchodźstwa uleczyć rany i zacząć nowe życie. Rychło jednak przyszło nam stanąć w obliczu nieznaney, obcej rzeczywistości.

Kreolscy żołdacy nie różnili się zbytnio od innych barbarzyńców w wojskowych mundurach. Odkrywaliśmy z wolna, że nasze małe marzenia są zwykłym egoizmem. Wmówiliśmy sobie, że potrafimy pokonać wrogów sprawiedliwości, prowadząc z nimi wojnę na terytorium, które uważaliśmy za swoje, podczas gdy w rzeczywistości, dla własnej wygody,

ustąpiliśmy im pola, pozwalając, by nadal ustalali reguły gry.

Po długim okresie wygnania, które choć bolesne i uci;|liwc, przypominało poniekąd bezterminowe sty-

pendium studenckie, zrozumieliśmy wreszcie, iż walka z wrogami ludzkości toczy się w każdym zakątku Ziemi. Pojawszy, że niepotrzebni są nam mesjasze ani bohaterowie, uświadomiliśmy sobie, że istotę jej stanowi obrona owego elementarnego prawa, jakim jest prawo do życia.

Santiago de Chile. Byłem szczęśliwy w Hamburgu, ale zawsze marzyłem o ponownym spotkaniu z Santiago. Wspominałem to miasto tak, jak wspomina się narzeczoną, i bałem się, że moja dziewczyna okaże się dziś przywidłą staruszką, która nie rozumie, że lata płyną.

Nie miałem jednak czasu, by się przekonać, jak teraz wygląda, bo w kasie czekał już bilet zamówiony przez Jorge Nilssena, a od lotu na południe dzieliło mnie niespełna pół godziny. Dostrzegłem tylko z daleka pasmo monotonnych gór, owe „znaki zimy”, opiewane przez Silvia Rodrigueza, a poniżej mgiełkę smogu, który okrywał miasto niby wdowi welon.

Do Puerto Montt dotarłem razem z zimą. Gdy tylko wysiadłem z samolotu, poczułem lodowate tchnienie Pacyfiku. Słupek rtęci wskazywał zaledwie kilka stopni powyżej zera, a dokuczliwy wiatr bezlitośnie smagał twarz. Trząśłem się z zimna jak galareta, porzuciłem więc myśl, by wprawdzie dowiedzieć się o losy Sarity, i zatrzymałem pierwszą przejeżdżającą taksówkę. Wysłuzony land-rover zawiózł mnie prosto do San Rafael.

Na przystani kotwiczyło nie więcej niż dwanaście kutrów, toteż bez trudu odnalazłem „Szalonego Ptaka”. Na pokładzie stał jakiś mężczyzna, paląc

papierosa. Na mój widok zeskoczył na keję i od razu się domyśliłem, że to Jorge Nilssen.

Obfita siwa czupryna skrywała jego wiek. Podszedł do mnie owym pelikanim krokiem, tak typowym dla starych wilków morskich, jakich i dziś jeszcze spotkać można w niektórych europejskich portach, gdzie zaciągają się na statki tanich bander — panamskiej i liberyjskiej. Rzadko schodzą na ląd, a ich chód ma w sobie coś z kołysania statku. Niewiele już zostało okazów tej legendarnej marynarskiej braci. Dzisiaj załogi składają się z oficerów, speców od informatyki i młodych marynarzy, dla których udział w rejsie jest tylko doraźnym zajęciem. Ich wynagrodzenie nie należy do najwyższych, a modernizacja portów położyła kres nadziejom na zwiedzenie kawałka świata. Ocean utracił swoją magię i nie pociąga już ludzi tak jak niegdyś.

Kiedy stanęliśmy naprzeciw siebie, mężczyzna wyciągnął do mnie rękę.

— Kapitan Jorge Nilssen. Jak minęła podróż?

— O tym porozmawiamy potem. Co z Saritą?

— Spokojnie. Nie było tak źle, jak mi się na początku zdawało. Ma złamane dwa żebra i nogę, ale wyjdzie z tego. Na razie kuruje się w bezpiecznym miejscu. Wie

O pana przyjeździe i wkrótce się zobaczycie, ale jeszcze jest na to za wcześnie. Poczekamy, aż wszystko trochę przycichnie. Proszę za mną. Zarezerwowałem panu pokój w pensjonacie. Właściciel to przyzwoity człowiek, można mu zaufać.

Szliśmy, nie odzywając się do siebie. Bywa, że milczenie jest najlepszą formą rozmowy.

Co robią dwa psy, kiedy spotykają się po raz pierwszy? Nie szczekają, nie

skamlą. Obwąchują się tylko

I już wiedzą, czy mogą sobie ufać, czy nie. My postąpiliśmy podobnie, a kiedy dotarliśmy na miejsce, wiedzieliśmy już, że wiąże nas nic porozumienia.

Byłem zmordowany, ale za nic nie straciłbym kolacji, na którą podano najlepsze na świecie małże. Świeży jabłecznik i wyborne domowe wino, cierpkie i ostre jak tutejszy klimat, przywróciły mi równowagę ducha i ciała. Po jedzeniu, gdy dym z płonących w żelaznym piecyk u s/czap otulił nas żywiczną wonią, nadszedł czas na rozmowy

— Długo wędruje pan po świecie? — zapytał Nilssen.

— Od siedemdziesiątego piątego. Mam się do pana zwracać „kapitanie”? Pytam, bo tak się pan przedstawił.

— To z przyzwyczajenia. Wyspiarze tak na mnie mówią, a ja nie protestuję, jak łatwo się domyślić. Ale gdyby zwracali się do mnie „panie kapitanie”, to już inna para kaloszy. Niech pan mówi, jak chce.

— Co się stało z „Nishin Mara”?

— Cierpliwości. Wszystkiego się pan dowie w swoim czasie. Wszystko pan zobaczy. Są sprawy, których nie da się opowiedzieć. Cóż znaczy słowo wobec ogromu morza?

— Proszę mi przynajmniej zdradzić, kim pan jest.

— Jestem bękartem mórz.

— Niewiele mi to wyjaśnia, kapitanie. Mój przyjazd tutaj dowodzi, że zaufałem panu bez zastrzeżeń. Jestem w pańskich rękach, a lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia. Greenpeace także, to chyba oczywiste...

— Żądacie ode mnie zbyt wiele. Nie należę do tych, co lubią gadać, i nie

mam w zwyczaju spowiadać się z mego życia. Wie pan chyba, że starym ludziom pamięć nie dopisuje?

— Aleja muszę wiedzieć, kapitanie. Nie przejechałem dwudziestu tysięcy kilometrów, żeby zjeść kolację z nieznanym.

— Zgoda, skoro pan nalega... Ostrzegam jednak, że po raz pierwszy będę mówił o sobie. Proszę się przysunąć do ognia. Próbował pan kiedyś garbarskiego moszczu? Niebo w gębie! Maceruje się w beczce razem z byczą skórą. Przyniosę kieliszki.

Nazywał się Jórg Nilssen, tak jak jego dziadek i jego ojciec, duński awanturnik, który w roku 1910, wzięwszy ze sobą kota jako jedyne towarzysza podróży, zapuścił się w okolice Cieśniny Magellana, pełen nadziei, że na północny zachód od wyspy Desolación odkryje przesmyk morski i otworzy żeglarzom drogę na Pacyfik, oszczędzając im niebezpiecznej przeprawy do Puerto Misericordia. Stary Nilssen nigdy nie odnalazł upragnionego przesmyku, odkrył za to wiele innych przejść, położonych bardziej na północ, czym znacznie się przyczynił do wzbogacenia mapy mórz południowych. Miał jednakże pecha, bo nie należał do żadnej floty ani oficjalnej ekspedycji badawczej i nigdy nie doczekał się uznania za swoje zasługi — wszystkie odkrycia przypisano innym i żadne z nich nie nosi jego nazwiska.

„Chilijską zapłatą” nazywają moi rodacy tę formę wdzięczności i uznania. Ale stary Nilssen, tak niesłusznie skazany na anonimowość, znalazł na swym szlaku nie tylko dziewicze zatoki i wyspy — znalazł też miłość pewnej wyspiarki, która towarzyszyła mu wiernie przez wiele lat podczas krótkich ciepłych miesięcy i długich zim patagońskich. Lecz któregoś dnia

jego ukochaną uśpił nieunikniony pocałunek śmierci, a wtedy został mu już tylko syn, urodzony na morzu i wy-kołysany przez fale. Aby zapewnić ciągłość trasy żeglugowej, zapoczątkowanej przed stu laty na zimnych wodach Kattegatu, nadał dziecku imię Jórg, ale jakiś chilijski biurokrata z wadą wymowy przerobił je na hiszpańskie „Jorge”.

— Zapyta pan pewnie, dlaczego ani razu nie wspomniałem imienia matki. To proste, wcale go nie miała. Wywodziła się z Onów, owej wymarłej już rasy olbrzymów, którzy na długo przed Magellanem tysiące razy przeprawiali się przez cieśninę na łodziach z foczych skór i żaglach z kory. Mój ojciec nazwał ją Kobieta, a ja nie zdążyłem nadać jej innego imienia, bo zmarła w kilka miesięcy po moich narodzinach, w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym. On przeżył ją o dwadzieścia lat. Wierny jej pamięci, nigdy nie związał się z inną kobietą i odtąd samotnie żeglował po kanałach.

Wiem o niej tylko to, co opowiadał mi w długie zimowe noce, które spędzaliśmy w zaciszu fiordów. Matka bała się schodzić na ląd. Gdy zawijaliśmy do portu lub przystani, zamykała się pod pokładem, dygocząc i skamląc jak ranione zwierzę. I nie bez powodu. Była z plemienia Onów i podobnie jak Patagończycy, Jaga-nowie i Alakalufowie wiele wycierpiała z rąk hodowców bydła — Anglików, Szkotów, Rosjan, Niemców i Kreolów, którzy osiedlili się w Patagonii i na Ziemi Ognistej. Była ofiarą i świadkiem jednego z największych aktów ludobójstwa tamtych czasów. Właściciele ziemscy, otaczani dziś w Santiago i Buenos Aires powszechnym szacunkiem jako pionierzy postępu, uprawiali dawniej łowy na Indian, płacąc srebrną monetą najpierw za parę uszu, potem za jądra i piersi, a wreszcie za każdą głowę Jagana, Ony, Patagończyka lub

Alakalufa, jaką im dostarczono.

Ciekawa rasa, ci Onowie. Wiadomo o nich niewiele. Do chwili przybycia Europejczyków trudnili się polowaniem na guanaka i zbieraniem małży. Z kości fok i wielorybów wyrabiali haczyki, groty do strzał i inne narzędzia, które wymieniali z Jaganami i Alakalufami na małe łodzie, niezbędne do przepraw przez cieśninę. Tak żyli przez wieki i dopiero Europejczycy wypędzili ich z terenów łowieckich, a razem z nimi bogów, zamieszkujących mroczne leśne ostępy. Bogowie Onów byli otyli, słabi i łagodni. Jak mówi legenda, kiedy Europejczycy zabrali Onom lasy, ci zbudowali wielką łódź, coś w rodzaju arki, aby ocalić swoich bogów, a że nie mieli wprawy w budowaniu statków, a bogowie byli grubi, arka zatonała pośrodku cieśniny. Gdy więc przystąpiono do masowej eksterminacji Indian, Onowie nie mieli już do kogo zwrócić się o opiekę. Zaczęli wówczas budować nieporadne łódki ze skór i kory, żeby wyłowić bogów z dna oceanu. A może chcieli zamieszkać wraz z nimi w ich nowej siedzibie? Nikt tego nie wie i nigdy się nie dowie.

Uciekając przed masakrą, wielu z nich wyruszyło na morze, gdzie wiedli życie wodnych nomadów, ale i tam nie byli bezpieczni. Polowania na Indian stały się ulubioną rozrywką hodowców bydła. To było wtedy, gdy na kanałach pojawiły się pierwsze parowce... Biali wypędzili Indian ze stałego lądu, skazali ich na wymarcie, wypalając miliony hektarów lasu, ale jeszcze im było mało. Musieli ich wytepić, co do jednego. Słyszał pan kiedyś o „strzelaniu do mrożonych gołąbków”? Wszyscy ci MacIverowie, Olivarriowie, Beauchefowie, Brau-tigamowie, von Flackowie, Spencerowie tak się zabawiali... Zaganiali całą indiańską rodzinę na

dryfującą krę albo górę lodową, a potem strzelali — najpierw w nogi, potem w ręce — i robili zakłady, kto się utopi, a kto zginie z zimna ostatni. Kiedy zmarł ojciec, przywykłem już do samotności i nie ufałem światu. Ojciec był dobrym człowiekiem. Między sobą porozumiewaliśmy się dialektem znad Kattegatu. Czytać i pisać po duńsku nauczyłem się z pierwszej książki, jaka wpadła mi w ręce. Był to dziennik pokładowy „Fiony” — żaglowca, na którym ojciec przyплыł ze Skandynawii. Później władze chilijskie nakazały nam używać tutejszej bandery i żeby prowadzić dziennik „Paso del Ona”, musiałem nauczyć się hiszpańskiego. „Paso del Ona”, kuter o płaskim kilu, ojciec mój kupił, kiedy „Fiona” rozbiła się w czasie sztormu na rafach Punta Diego. Na „Paso del Ona” się urodziłem. Ten statek był moją ojczyzną. Ale już go nie ma... Kiedy ojciec umarł, zrobiłem, com powinien, jak każe obyczaj Onów i ich wiara: przywiązałem ciało do steru i zatopiłem kuter w głębinach zatoki Penas. Może na dnie oceanu ojciec spotka się ze swoją Kobieta? Kto wie. Zostałem sam. Jedyłą bliską mi osobą była pewna staruszka, którą często odwiedzałem na zachodnim wybrzeżu wyspy Van der Meule u wejścia do kanału Messier. Nie znała hiszpańskiego ani duńskiego. Nie znała żadnego języka poza swoim własnym. Czasem, nieświadoma mojej obecności, nucila coś w narzeczu Onów, ale milkła speszona, ilekroć mnie spostrzegła. I tak mijały nam całe dni... Imienia też nie miała. W owym czasie, mówię o roku czterdziestym drugim, mieszkałem w chacie zbudowanej przez ojca. Stoi tam do dziś i wciąż opiera się wiatrom szalejącym nad północno-wschodnimi brzegami wyspy Serrano, oddalonej od Van der Meule na szerokość kanału Messier — niespełna półtorej mili. Nie byłem rozbitkiem, ale żyłem samotnie. Byłem jedynym mieszkańcem

wyspy Serrano i nie skłamię, jeśli powiem, że wolałem rozmawiać z delfinami niż ze starą Oną z tamtego brzegu. Delfiny przynajmniej odpowiadały na moje zawołanie, gdy tymczasem w gardle biednej starowinki słowa więzły, dławione strachem bardziej nieprzeniknionym niż patagońska mgła. Ale ilekroć niebo było pogodne, a morze spokojne, przeprowałem się na drugi brzeg kanału, żeby ją odwiedzić.

Pewnego dnia nie zastałem nikogo. Popiół w palenisku był jeszcze ciepły, a w pobliżu odkryłem ślady łowców fok. Odeszła, zabierając ze sobą swoją starość i swój lęk. Czułem, że już nigdy jej nie zobaczę i że nie mam po co tu wracać.

Po latach dowiedziałem się, że umarła i że była ostatnią z Onów. I tak nadszedł kres tego plemienia wygnańców, blakających się po najmniej gościnnych morzach tego świata. Pamiętam, że o jej śmierci przeczytałem w lokalnej gazecie Punta Arenas. Francuscy badacze natknęli się na starą Indiankę, dryfującą na wysokości wyspy Desolación, gdzie Cieśnina Magellana uchodzi do Pacyfiku. Wiosła maleńkiej łódeczki, która cudem trzymała się na falach, były do-

szczętnie połamane. Francuzi zabrali staruszkę na pokład, zbadali ją, określili jej wiek na jakieś dziewięćdziesiąt lat, po czym doszli do wniosku, że jest obłąkana, bo gdy tylko spuścili ją z oka, próbowała wyskoczyć z powrotem za burzę, żeby wrócić na swoją łódkę. Dostała zastrzyk na uspokojenie i to przyspieszyło jej koniec. Nie była obłąkana. Bogowie Onów żyją w morzu, a ona ich szukała, zanim natknęła się na intruzów.

Co więcej? Pojechałem do Punta Arenas i na pokładzie „Magallanes” wyruszyłem w morze, a później zaokrętowałem się na „Tome” i „San

Esteban", które wozily drewno, mięso i zboże do ogarniętej wojną Europy. Kilka lat potem, w Santander, zmieniłem kurs, bo zachciało mi się Karaibów... póki nie skusił mnie Ocean Indyjski, a potem południowy Pacyfik. Mururoa, Nowa Zelandia, Australia, Japonia... Włączyłem się ze statku na statek, aż do roku osiemdziesiątego, kiedy to skończyłem sześćdziesiąt lat. Mój horyzont się skurczył. Żaden wrak nie wypływa w tym wieku na pełne morze. Nikt, nawet liberyjski armator, nie chciał mnie przyjąć na pokład. Cóż miałem począć? Nigdy nie czułem się Chilijczykiem, ale, jak mawiają Maorysi, każde morskie stworzenie powraca do rodzinnej zatoki. Może to i prawda, bo jeszcze zanim stuknęła mi sześćdziesiątka, często nachodził mnie ten sam sen: widziałem siebie, jak żegluję po kanałach Południa. I niech się panu nie zdaje, że mam tu na myśli Chile! Niech pan popłynie do Beagle i zapyta foki, kormorany i pingwiny z wysp Picto, Le-nox i Nueva, czy czują się Chilijczykami albo Argen-tyńczykami. Narodowość jest jak chustka... żeby żołdacy mieli czym wycierać gębę.

Była w tych snach jakaś tęsknota, jakieś wołanie, więc wróciłem. Przez czterdzieści lat pracy na morzu odłożyłem trochę grosza w panamskim banku. Starczyłoby triu* na spokojną, dostatnią starość w przytułku dla emerytowanych marynarzy, ale opętał mnie zew Południa. Musiałem wrócić.

Pod koniec roku osiemdziesiątego pierwszego wypatrzyłem w Puerto Ibañez stary kuter, przystosowany do rejsów pełnomorskich. I tak kupiłem „Finister-re" razem z majtkiem na pokładzie. Nie bujam! Ten statek był jego jedynym domem, a ja zyskałem wiernego towarzysza, wielkoluda o gołębiim sercu. Nazywają go Mały Pedro, w odróżnieniu od ojca, też

Pedra... tak ze dwa metry z okładem.

Z Małym Pedrem zrozumieliśmy się od pierwszej chwili. Wspólnymi siłami uporządkowaliśmy statek i ruszyliśmy na południe.

Chata na wyspie Serrano zachowała się niemal w tym samym stanie, w jakim ją zostawiłem czterdzieści lat temu. Nikt nie zamieszkał na mojej wyspie. Wszystkich odstrasza tutejszy klimat, wyjątkowo surowy i nieprzyjazny. Nieraz myślę, że te roje wysp, wysepek i raf nie zmieniły się ani trochę od stworzenia świata. Świetne miejsce, żeby zakotwiczyć się na resztę życia. Mój własny port. I tak, razem z Małym Pedrem, żeglłowaliśmy, nie napotykając nikogo przez całe lata, odmierzane nieomylnym rytmem morza. Ale nic nie trwa wiecznie.

Zauważyliśmy kiedyś, że delfiny zaczynają znikać w nietypowych dla siebie porach roku, a młode wieloryby już nie gromadzą się u stóp klifów Van der Meu-le. Zatoka Penas, gdzie każdej wiosny grindwale łączyły się w pary, była pusta i spokojna jak martwa fala. Dochodziły nas wieści o katastrofie ekologicznej na wodach Reloncavi. Wiedzieliśmy, że to sprawka Japończyków i ich sługusów z chilijskiej junty. Wiedzieliśmy też, że wyrąb puszczy porastającej nadbrzeżną kordylierę położył kres, być może na zawsze, jednemu z najwspanialszych widowisk natury, jakim są gody łososi, zmierzających w górę rzek, żeby złożyć ikrę. Zagłada rdzennych lasów, drzew tak starych jak ludy Ameryki, i młodniaków, które jeszcze nie dawały cienia, uczyni-

ła z tych niegdyś wiecznie zielonych okolic smutną, jałową pustynię.

Razem z puszczą zginęły tysiące gatunków owadów i drobnych zwierząt, podtrzymujących życie w rzekach... Ale nam wydawało się, że to wszystko dzieje się daleko na północy, od miejsca katastrofy dzieliło nas przecież

ponad tysiąc mil! „Co, u diabła, stało się z naszym morzem?”, pytaliśmy siebie nawzajem. Pewnego poranka, latem osiemdziesiątego czwartego roku, znaleźliśmy odpowiedź.

To, co zobaczyliśmy, przejęło nas dreszczem. Słyszał pan o „Caleuche”? To statek widmo, tutejszy „Latający Holender”. No więc nawet „Caleuche” nie zrobiłby na nas takiego wrażenia jak to, co ujrzeliśmy u wejścia do zatoki Trinidad, na południe od wyspy Mornington.

Przed nami stał wielki statek przetwórnia ponad-stumetrowej długości. Tkwił w miejscu, chociaż maszyny pracowały pełną parą. Zbliżyliśmy się i rozpoznaliśmy japońską banderę. Gdy podeszliśmy na ćwierć mili, Japończycy oddali do nas strzał ostrzegawczy i kazali nam odpłynąć. Zdążyliśmy jednak przyjrzeć się temu, co robili.

Za pomocą rury o blisko dwumetrowej średnicy wysysali wodę z morza. Pod kilem czuliśmy silny prąd, a tam, gdzie przeszła ssawa, woda przemieniała się w mętną breję, pozbawioną wszelkich śladów życia. Wciągnęli wszystko, co popadło. Zamarliśmy ze zgrozy, widząc, jak całe stada młodych delfinów znikają w czeluściach rury. A najbardziej przerażający był widok wypluwanych do morza odpadków, chlustających z otworu na rufie.

Pracowali sprawnie i szybko. Te statki przetwórnice to diabelski wynalazek. Nie uganiają się za ławicami, a to, co robią, trudno nazwać rybołówstwem. Ich właścicielom chodzi tylko o tran i inne tłuszcze zwierzęce na użytek przemysłu. Dla zysku gotowi są wymordować oceany.

Niedługo potem, pływając po otwartym morzu na wysokości fałszywego przylądka Horn, widzieliśmy jeszcze wiele takich jednostek: amerykańskich, japońskich, rosyjskich, hiszpańskich... Wszystkie robiły to

samo.

To była straszna zima... Dławiła mnie rozpacz i gniew. Zacząłem nawet przemyśliwać, czyby nie załadować „Finisterre” dynamitem i rzucić się pełną parą na pierwszy napotkany statek „odkurzacz”. Tak, to była fatalna zima.

Mały Pedro patrzył na mnie zdziwiony, gdy majstrowałem przy krótkofalówce w poszukiwaniu jakiejś rady. Nie ma pan pojęcia, jak my, marynarze, kochamy radio. To jakby głos Boga, przypominającego sobie czasami o naszym istnieniu. I tak, nie mając już żadnej nadziei, trafiłem w końcu na pocieszającą wiadomość: Radio Nederland informowało o akcji Greenpeace na Morzu Śródziemnym. Protestowali przeciw łajdackim sposobom niszczenia dna morskiego, stosowanym przez poławiaczy koralu. Pamiętam, że aż podskoczyłem z radości i uściskałem mego towarzysza. Nie jesteśmy sami, Pedro! Nie tylko my chcemy ratować morze! I wtedy nastąpiło coś, czego bym się nigdy nie spodziewał. Mały Pedro, który jest człowiekiem milkliwym i skrytym, odezwał się nagle z niespotykaną u niego powagą: „Zdradzę panu sekret, szefie. Złamię przysięgę. Jestem Alakalufem, a dla Alakalufa przysięga na palenisko jest święta. Szefie, ja wiem, gdzie się ukrywają grindwale”. I powierzył mi swoją tajemnicę.

Gdy więc na wysokości Corcovado znowu zobaczyliśmy „Nishin Mam”, popłynęliśmy na Chiloe, żeby skontaktować się z ludźmi z Greenpeace. Szkoda, że są tak daleko! Zresztą tę bitwę wygraliśmy sami, tylko my i ocean. Miłość i nienawiść. Życie i śmierć. Tajemnica i objawienie.

Wszystko naraz, jak dawniej, tak i dzisiaj... Takie jest mor/e.

Skończył. Długo siedzieliśmy w milczeniu. Pełgające w piecyku płomienie

zdawały się podsycać ciszę, skłaniały do zadumy.

— Nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, od czego zacząć.

— Powiedzmy sobie dobranoc. Ja też jestem zmęczony.

— W porządku. Dobranoc, kapitanie Nilssen.

Nazajutrz zerwaliśmy się z łóżek przed świtem. W jadalni czekał na nas pękaty dzbanek kawy i świeży chleb prosto z pieca. Zgadując moje myśli, kapitan Nilssen zaczął od informacji o Saricie.

— Ma się coraz lepiej. Oczywiście bolą ją połamane kości, ale to silna dziewczyna. Jak pan zapewne wie, jesteśmy na ziemi czarowników, a oni uprzedzili ją

o pańskim przyjeździe. Przesyła panu pozdrowienia

i ten list. Proszę.

Z kartki, zapisanej drżącą ręką Sarity, dowiedziałem się, że gdy zobaczyła „Nishin Mam” w stoczni marynarki wojennej, postanowiła go sfotografować, ale jak widać, była nie dość ostrożna. Zabrała dwie rolki filmu do atelier swojego przyjaciela, a kiedy wychodziła ze zdjęciami, potracił ją samochód, w którym siedziało dwóch mężczyzn. Widziała ich zaledwie przez chwilę, ale jest pewna, że to Chilijczycy. Wyrwali jej kopertę z odbitkami i uciekli. Dalej Sarita dziękowała mi za znalezienie bezpiecznej kryjówki, bo gdy leżała w szpitalu, dotarły do niej groźby, że jeżeli piśnie choć słowo, może pożegnać się z życiem; nie wiedziała, że wszystkim zajął się Nilssen, a ja wolałem nie zadawać zbędnych pytań. Ufałem mu, a zaufanie to jedno z najszlachetniejszych ludzkich uczuć.

— Co teraz, kapitanie?

m

— Na pokładzie „Szalonego Ptaka” wyruszamy na północ, żeby przyjrzał

się pan „Nishin Mara”, a potem popłyniemy na południe, na spotkanie „Finisterre”.

Dzięki płaskiej stępce i dwóm potężnym silnikom Diesla „Szalony Ptak” śmigał po fali jak kormoran. Był to zaiste statek godny przemytników z mórz południowych. Jego załogę stanowili: don Checho, człowiek oszczędny w słowach, oraz majtek o przezwisku „Wspólnik”, który później udzielił mi kilku lekcji wykwintnej kuchni — a działo się to, gdy płynęliśmy z prędkością czterdziestu węzłów przy metrowej fali.

Odbiliśmy od brzegu. Kursem północno-wschodnim opłynęliśmy wyspę Calbuco i po półgodzinnej żegludze weszliśmy do zatoki Reloncavi. Na północnym horyzoncie majaczyło Puerto Montt, a my, zręcznie ominąwszy port wojenny, znaleźliśmy się na wprost doków.

Tak. To był „Nishin Maru”. Miałem przy sobie jego zdjęcie. Ten sam „Nishin Maru”, który bojownicy z Greenpeace zablokowali w Jokohamie. Lewa burta wyglądała na mocno uszkodzoną, jakby statek miał za sobą liczne kolizje. Wokół uwijał się sprawnie rój robotników.

— O, do diabła! Co go tak urządziło?

— Morze. Jak pan widzi, znalazł się dość daleko od Mauritiusa.

— Ten tak. Ale „Nishin Maru II” faktycznie pływa po tamtych wodach.

I opowiedziałem kapitanowi Nilssenowi o tym, co dzieje się na złomowiskach, i o fałszywych certyfikatach.

— Patrz pan... a mówią, że nie ma dziś piratów! No, dobra. Obejrzeliliśmy go sobie i już pan wie, jak wygląda prawda. Ale najlepsze dopiero pan

zobaczy. Don Checho, kurs na południe i cała naprzód!

„Szalony Ptak” zrobił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i ruszył przed siebie, pozostawiając na wodzie szeroka, pienista szramę.

— Dmucha prosto w twarz! Zejdźmy lepiej pod pokład... dotrzemy do towarzystwa Wspólnikowi. Ale przedtem coś panu pokażę. Wie pan, co to jest?

Kapitan Nilssen wskazał sterczący nad portem po-marańczowózóły kopiec, po którym wspinały się ciężarówki i buldożery. Na szczycie widać było kilka dźwigów.

— Chyba góra. Może to zabrzmie dziwnie, ale nie pamiętam, żeby tu było coś takiego.

— I ma pan rację. Wyrosła całkiem niedawno i wcale nie jest tworem natury. To po prostu góra wiórów. Jedna z wielu, jakie zdoła od pięciu lat południowe wybrzeże Chile. Oto co czeka nasze lasy: najszlachetniejsze gatunki drzew i zwykłe krzaki, wszystko przerabia się na trociny i wywozi do Japonii. Surowiec dla przemysłu papierniczego... Niektórzy mówią, że taką cenę płacimy za przyjemność czytania, ale to nieprawda. Rabunkowy wyręb starodrzewu jest znacznie bardziej dochodowy niż szkółka leśna. Przykucnęliśmy pod pokładem w ciasnym kubryku. Nilssen rozłożył mapy, a Wspólnik zapoznał nas z drobiazgowym przepisem na sztufadę z jagnięcia, którą przygotowywał na obiad. Co jakiś czas wdrapywał się do kasztelu, naradzał nad czymś z don Chechem, po czym wracał tłuc przyprawy w moździerz.

— Wchodzimy do zatoki Ancud. To spokojne wody. Chce pan poznać dalszy ciąg mojej historii?

— Posłucham z przyjemnością.

— A więc, jak panu wiadomo, ja również dowiedziałem się o pozwoleniu na odstrzał wielorybów błękitnych, ale nie przywiązywałem do tego wagi. Jeszcze nie wtedy, nie na początku zimy. Dopiero gdy zobaczyłem „Nishin Maru” u wejścia do Corcovado, przypomniałem sobie sekret Małego Pedra i od razu pojąłem, w czym rzecz: statek tropił grindwale. A jednak coś mi tu nie grało.

Skoro Japończycy też znali kryjówkę waleni, to znaczy, że musieli zatankować paliwo w jakimś większym porcie, i to gdzieś w okolicy.

Powinni byli zakotwiczyć w Punta Arenas, a potem wyruszyć na północ, ku zatoce Salvación, aby dalej pozeglować kursem wschodnim w stronę fiordów. Coś mi tu nie pasowało. W Puerto Montt zaopatrzenie jest mizerne, a zresztą „Nishin Mara” nawet nie zbliżył się do nabrzeża.

Zatrzymał się u wejścia do Corcovado, jakby na coś czekał, a my z Małym Pedrem łamaliśmy sobie głowę, o co tu naprawdę chodzi.

I wkrótce, rankiem czternastego czerwca, wszystko stało się jasne. Mały, dwuosobowy helikopter przeleciał kilka razy nad statkiem, próbując usiąść na lekkiej metalowej platformie, zainstalowanej na pokładzie rufowym.

Nie udało mu się, bo właśnie wtedy zaczął wiać puelche. Wie pan, o czym mówię?

Puelche... Kiedy jesień ma się ku końcowi, nadchodzą znad Atlantyku wiatry, które wymiatają pampę i niczym niepowstrzymane pędzą ponad łagodnymi wzniesieniami argentyńskiej Patagonii, muskają wierzchołki Czterech Piramid i Melimoyu, stygnąc w mroźnym tchnieniu wiecznych lodów, by runąć z impetem na chilijskie wybrzeże. Dotarłszy do morza na wysokości północnego krańca archipelagu Guaitecas, zderzają się z potężnymi wichrami idącymi od Pacyfiku, zmieniają kierunek na północny

i gnają dalej, aż do Ancud i Reloncavi, a ich lodowaty podmuch przejmuje dreszczem nawet skały. Kiedy wieje puelche, lepiej zostać w domu, mawiają chilotańscy marynarze.

— Od razu było widać, że będzie ostro dmuchać. „Nishin Mara” podniósł kotwicę i odpłynął do Puerto Montt. Dopiero tam helikopter zdołał wylądować, a kiedy przymocowali go linami i okryli brezentem, statek zawrócił na otwarte morze i ruszył na południowy zachód, szukając wejścia do kanału Chacao w południowej części zatoki Los Coronados, naprzeciw

przylądka Huechucuicui. Dziwiliśmy się, po co ten helikopter, ale jedno było pewne: kapitan Tanifuji na pewno bardzo się spieszył. Kluczył Bóg wie jak długo, jakby chciał się wydostać na otwarte morze, a jednocześnie szedł pełną parą na południe. Proszę spojrzeć tu, na mapę...

Obserwowałem w skupieniu, jak palec wskazujący prawej ręki kapitana Nilssena żegluje swobodnie w labiryncie wysp, przylądków, zatok i punktów orientacyjnych, i ledwie nadażalem, by spamiętać ich nazwy.

Poprosiłem o chwilę przerwy, żebym mógł zaznajomić się z mapą. Kapitan zgodził się chętnie i zostawił mnie nad ogromnymi płachtami, popstrzonymi tysiącami zielonych kropek i plam.

Odchodząc, spojrzał na mnie rozbawiony.

— Nie musi pan się uczyć tego na pamięć. Nie da pan rady. Nikt nie jest w stanie wbić sobie do głowy tylu nazw. Już idę, ale przedtem opowiem panu pewną anegdotę. Mam przyjaciela Chilotańczyka, prawdziwego wilka morskiego. Przez wiele lat pracował jako pilot w Cieśninie Magellana i nie było statku, którego by nie wyprowadził na Pacyfik albo na Atlantyk, wedle życzenia. Miał jednak tę wadę, że nie skończył żadnej szkoły

morskiej, a na dodatek był socjalistą. Kiedy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku nastąpił przewrót wojskowy, a żołdacy na wszystkim położyli łapę, kapitanat w Punta Arenas wezwał mego przyjaciela na egzamin weryfikacyjny. Od jego wyniku zależało odnowienie licencji pilota. I tak Cesar Acosta, ze swym czterdziestoletnim doświadczeniem, zasiadł naprzeciwko jakiegoś kretyna w stopniu porucznika marynarki. Oficerek rozłożył mapę cieśniny i powiedział: „Proszę wskazać najbardziej niebezpieczne mielizny”. Mój przyjaciel podrapał się w brodę i odparł: „Jeżeli pan wie, gdzie one są, to gratuluję. Mnie wystarczy, że wiem, gdzie ich nie ma”.

Tuż przed południem wyszedłem na pokład. Wszyscy trzej popijali matę, nie troszcząc się o zaciągnięty chmurami horyzont, na którym niewyraźnie majaczyły kontury wysp.

Zostawiliśmy za rufą wyspy Chauquenenes, Tac, Apio, Chulin i o drugiej po południu wpłynęliśmy do Puerto Chaiten, żeby zatankować paliwo i uraczyć się wspaniałą sztufadą z jagnięcia, pachnącą liściem laurowym i goździkami.

— Odpocznijmy godzinkę. Trzeba rozprostować nogi. Teraz czeka nas trudny kawałek, a w tej puszcze sardynek to wcale nie będzie zabawne. Jeszcze parę mil na południe, i wejdziemy do Corcovado. Ma pan szczęście! Kiedy płynęliśmy tędy za „Nishin Maru”, mieliśmy podobną pogodę — mówił do mnie kapitan Nils-sen, podczas gdy Wspólnik wypytywał don Checha o jego kulinarne zachcianki na dzisiejszy wieczór. Zatoka Corcovado otwiera się jakieś dwadzieścia pięć mil na południe od Puerto Chaiten. Latem, w bezwietrzne dni, przez gładką i przejrzystą tafłę wody dojrzeć można morskie dno, ale zimą, gdy z Pacyfiku napływają

mętne, wzburzone fale, żegluga robi się diabelnie niebezpieczna. Od wschodnich brzegów Chiloe dzieli zatokę niecałe czterdzieści mil. Najbardziej wysunięty na południe punkt wielkiej wyspy oddzielony jest od północnego krańca archipelagu Guaitecas kanałem szerokim na trzydzieści parę mil. Przez kanał ów płyną silne prądy pacyficzne, które rozdzielają się w połowie drogi, by ominąć wyspę Guafo, po czym znów się łączą i z impetem rwą przed siebie, tworząc straszliwe wiry. W zatokę Corco-vado wdzierają się z siłą tak wielką, że urwiste granitowe brzegi, podmywane nieustannie przez fale, przesuwały się z biegiem lat coraz dalej w głąb lądu.

To była ciężka przeprawa. Don Checho i kapitan Nilssen zmieniali się przy ster/ie, ja robiłem, co mogłem, żeby utrzymać żołądek na właściwym miejscu.

a Wspólnik przygotowywał kolację, sprawnie posługując się narzędziami kuchennymi, przymocowanymi gumową taśmą do kuchenki.

Mam wrażenie, że „Szalony Ptak” większą część drogi przebył w powietrzu. Muskał powierzchnię wody, aby w chwilę potem znowu wznieść się na fali wśród potępieńczych jęków trzeszczącego omasztowania. O wpół do szóstej wieczorem, kiedy było już ciemno, zdarzył się cud. Wszystko nagle ucichło, a my znaleźliśmy się w zacisznym wnętrzu zatoki. Okrążywszy od południowego wschodu jakąś samotną skalistą wysepkę, don Checho zatrzymał maszyny, a Wspólnik jednym susem wyskoczył na ląd.

Don Checho zagadnął mnie, po raz pierwszy w tym rejsie.

— Miałeś, chłopie, ubaw, co? Jesteśmy na południe od wyspy Refugio.

Nazwali ją Bezpieczną Wyspą, bo góry Melimoyu osłaniają to miejsce od

wiatrów. Tam, wysoko, wciąż wieje puelche. Zejdzie niżej dopiero jakieś dwanaście mil dalej na zachód. Wspólniku, co będziemy jeść?

Majtek skwitował nieoczekiwaną elokwencję szefa krótkim, acz euforycznym okrzykiem: „Ragout z chol-gas\”

Rozsiedliśmy się na pokładzie i zjedliśmy wspaniałą, zawieszistą potrawkę z wielkich jak dłoń małży o różowawym mięsie. W czasie poobiedniej pogawędki rozpamiętywaliśmy szczegóły podróży, a ja zapragnąłem dowiedzieć się czegoś więcej o moich towarzyszach. Zagadywałem ich o to i owo. Odpowiadali monosylabami i rozmowa wyraźnie się nie kleiła. Ale gdy zwróciłem uwagę na silniki łodzi, ożywili się natychmiast. Kiedy zapytałem, gdzie je kupili, obydwaj parsknęli śmiechem.

— Mam powiedzieć, szefie? — upewnił się Wspólnik.

— Jasne. Skoro jest z Nilssenem, można mu zaufać. Ale bez przesady. Wspólniku. Nie zalewaj zbytnio.

— O rany, szefuniu! Więc przedtem mieliśmy taki dychawiczny motorek, co to chodził, kiedy chciał, a nie było forszy na nowy. Pewnego dnia, a właściwie pewnej nocy, dobry Pan Bóg, który kocha swoją trzód-kę, posłał nas do Sojuszu dla Postępu. Mówi coś panu słowo Unitas? To wspólne manewry morskie Janke-sów i Chilijczyków. No i kiedy gringos bawili się w inwazję w zatoce Cucao u zachodnich brzegów Chiloe, złapał ich sztorm. Zostały tam po nich dwie łodzie desantowe, wielkie, z opuszczanym dziobem i innymi takimi bajerami. Zobaczyliśmy je z szefem i mówimy: „Kurde, ci gringos to mają gest. Zostawili nam w prezencie dwa śliczne silniczki”. Wymontowaliśmy je, no i są tu. I pomyśleć, że zdarzają się niewdzięcznicy, którzy narzekają na Jankesów.

— Ale te silniki muszą sporo ważyć, a ten stary...

— Już mówiłem, że Pan Bóg kocha swoją trzódkę. Zupełnie przypadkiem przepływaliśmy tamtędy naszą „Finisterre”, a to bardzo pakowny statek. Wspólnik skończył opowieść i wziął się do zmywania talerzy i rondli. Zapaliłem papierosa i poczułem, że zaczynam kochać „Finisterre”. Dwudziestego trzeciego czerwca o świcie opuściliśmy naturalną przystań na wyspie Refugio i ruszyliśmy dalej na południe. Toń morza była gładka i przejrzysta, ale radio ostrzegało przed silną bryzą na otwartych wodach. U północnego wejścia do kanału Moraleda temperatura nie przekraczała dwóch stopni. Minęliśmy od wschodu wyspy Tilo i Magdalena. Po zachodniej stronie mieliśmy Guaitecas, Lcucayec, Chaflers, Carrao, I;ilome-na, lluenahuec, Transito, Cuptana, Mełchor i setki bezimiennych wyspek, /;imu'sA;iuych prze/ morskie ptactwo i foki, które z niewzruszonym spokojem obserwowały „Szalonego Ptaka”.

— Siódmego czerwca też tędy płynęliśmy — zaczął kapitan Nilssen. — Złapaliśmy częstotliwość, na jakiej nadawał „Nishin Mara”, i doszliśmy do wniosku, że nie może być daleko. Najprawdopodobniej gdzieś za tymi wyspami. Japończyk żeglował prawie sto mil od wybrzeża, a więc czas działał na naszą korzyść. Żeby wejść do zatoki Penas i znaleźć kryjówki wielorybów, „Nishin Maru” musiał najpierw zatoczyć łuk na zachód, a potem na południe, omijając piaszczyste mielizny wokół półwyspu Taitao. My znamy tu pewien skrót, sam pan zobaczy, i chcieliśmy zacząć się na niego w pobliżu północnego ujścia kanału Messier. Ale Tanifuji był lepiej poinformowany, niż nam się zdawało, a przy tym sprytny jak wygłodniały lis. Potem się pan przekona, dlaczego o tym mówię, ale teraz, skoro już tu jesteśmy, pokażę panu coś ciekawego, chociaż nie ma to nic wspólnego z

naszą wyprawą. Widzi pan tę zieloną plamę z lewej burty? To północny brzeg wyspy Melchor. Od wyspy Victoria oddziela ją płytki, wąski kanał bez nazwy, który na zachodzie wpada do niewielkiej zatoki na wprost wysp Kent i Dring. Otóż ów bezimienny kanał był dawniej kryjówką bukanie-rów. Żeglował tamtędy mój ojciec i jemu zawdzięczamy pomiary głębokości, zaznaczone teraz na mapach. Bardzo możliwe, że właśnie od tej zatoki wzięła początek legenda o statku widmie „Caleuche”, a raczej „Ca-cafuego”, bo taka była jego prawdziwa nazwa.

— „Cacafuego”? Nigdy o nim nie słyszałem...

— Nic dziwnego. Jego pierwszym kapitanem był niejaki Alonso de Mendez. Wytrwał na tym stanowisku zaledwie trzy tygodnie. Zginął, powieszony na najwyższym maszcie z rozkazu Drake'a.

— Tego korsarza?

— Tak, sir 1 rancisa Drake'a. W tysiąc pięćset siedemdziesiątym siódmym roku Drake przebył Cieśni-

nę Magellana na czele floty siedmiu brygantyn. Tylko jedna, „Golden Hind”, wyszła z tego cało i na niej właśnie wyruszył dalej na północ, łupiąc po drodze kilka chilijskich miast i pustosząc wybrzeża Peru.

Szczyście mu widać sprzyjało, bo w Callao natknął się na „Cacafuego”, okręt zbudowany w stoczniach Nowego Świata, kiepsko uzbrojony, ale świetny do przewozu towarów. Płynął z ładunkiem złota i srebra, a było tego tyle, że Drake nie zdołał przenieść wszystkiego na „Golden Hind”.

Słynny korsarz musiał wybierać: albo weźmie „Ca-cafuego” na hol i pociągnie go ze sobą na północ, gdzie miał nadzieję zrabować więcej łupów i zająć kilka mocnych statków, na które będzie mógł przeladować drogocenny kruszec, albo zostawi zdobyty okręt pod opieką zaufanego

człowieka. Zdecydował się na to drugie, a nowym kapitanem „Cacafuego” mianował William-sa O'Barreya, irlandzkiego zabijakę, za którego głowę Liga Hanzeatycka wyznaczyła sowitą nagrodę.

Była zima tysiąc pięćset siedemdziesiątego siódmego roku. Wiedząc, że nic nie grozi mu z południa, Drake wyruszył na północ, by zaskoczyć hiszpańskie okręty w ujściu rzeki Guayas. Na pokładzie „Cacafuego” zostawił trzydziestu ludzi, którzy pod rozkazami O'Barreya mieli czekać na powrót kapitana.

W tamtych czasach tylko dwa powody mogły pchnąć korsarzy do rebelii: głód i złoto. Irlandczyka skłoniła do buntu chciwość i w lipcu tego samego roku rozwinął żagle i podążył na południe statkiem wyładowanym skarbami aż po czubki masztów. W trzy miesiące pokonał dwa tysiące pięćset mil, aż w październiku silny sztorm zaskoczył go niedaleko stąd, na wysokości wyspy Lemu.

Z tak przeciążonym okrętem O'Barrey nie mógł wydostać się na pełne morze, żeby ominąć sztorm, poszukał więc schronienia w głębokiej zatoce, utworzonej przez wyspy Mek-hor, Yictoria i Dring. W złą godzinę to uczynił, bo gdy ucichła nawałnica, ujrzał trzy okręty hiszpańskiej Armady, które odcięły mu drogę ucieczki. Zbyt długo zwlekał z przedostaniem się do Cieśniny Magellana. „Cacafuego” miał do obrony ledwie dwa działa i muszkiety. Hiszpanie natomiast uzbrojeni byli po zęby, a korsarze wiedzieli, że w razie porażki nie unikną szubienicy. O'Barrey miał nadzieję, że w zamian za łupy kupi sobie wolność, ale kamraci nie wybaczyli mu tchórzostwa i powiesili go na tym samym maszcie, na którym zawisł przedtem nieszczęsny kapitan Mendez.

O zmierzchu nadciągnęła gęsta mgła i Hiszpanie nie zauważyli, że „Cacafuego” wymknął się z pułapki.

Opuściwszy zatokę, korsarze popłynęli pięć mil na południe i przez wąski przesmyk oddzielający wyspy Victoria i Dring wyszli na wody kanału, który teraz znany jest jako Kanał Darwina. To byli świetni żeglarze, a ich sternik miał dryg w rękach. Mgła zasnuła wybrzeże chyba na kilka dni, bo inaczej trudno wytłumaczyć, dlaczego okręty Armady dopiero czwartego dnia dopadły ściganego statku, i to dziewięćdziesiąt mil dalej na południe, u wejścia do zatoki Peiias, bo tak się nazywała, zanim angielscy kartografowie przerobili „n” na „n”.

Hiszpanie mogli zaatakować korsarzy w zatoce, ale nie uczynili tego, być może w obawie, że tamci zatopią statek. Powiesiwszy kapitana O'Barreya, piraci zamknęli sobie drogę do kapitulacji. Postanowili zwabić przeciwnika do kanału Messier. Hiszpanie nie znali kanałów. Nigdy ich nie interesowały, tak jak nie interesowały ich ziemie na południu świata. Może ze strachu przed potworami i przerażającymi bestiami, które jakoby zamieszkiwały wyspy? Tylko raz zdecydowali się zapaść w te okolice, a było to wtedy, gdy Francisco de Toledo, omamiony domniemanym bogactwem legendarnego Zaginionego Miasta Cezarów, nakazał podbój Trapanandy, krainy do dziś owianej tajemni-

I

li

ca. Tymczasem korsarze sami wpadli w pułapkę, Hiszpanie bowiem, pozwoliwszy im wpłynąć do kanału Messier, czekali, aż głód i desperacja wygnają przeciwników na otwarte morze.

Chcąc się upewnić, że znów ich nie zgubią, podzielili siły, by skuteczniej patrolować wybrzeże. Jeden okręt pozostał w zatoce Penas, strzegąc północnego wejścia do kanału. Drugi pożeglował sto mil dalej na południe, do ujścia kanału Dinley, a trzeci zajął pozycję między wyspą Mądre de Dios i zatoką Salvación.

Był to dobrze przemyślany manewr. Korsarze musieli prędzej czy później opuścić kryjówkę, a gdyby zdecydowali się płynąć kanałami te pięćset mil, jakie dzieliło ich od Cieśniny Magellana, okręt zakotwiczony na wprost zatoki Salvación dostrzegłby uciekinierów i odciął im drogę ucieczki.

Hiszpanie czekali wytrwale czternaście miesięcy, ale „Cacafuego” nie dawał znaku życia. Wreszcie nadeszły posiłki w liczbie czterech nowych statków. Wówczas zaczęli przeszukiwać kanały. Nigdzie nie znaleźli piratów. Nie wiadomo, czy „Cacafuego” wydostał się na otwarte morze, ale wśród Onow, Jaganów i Alaka-lufów krążą opowieści, że do dziś spotkać można jasnowłosych żeglarzy, którzy wynoszą na brzeg złoto z przeładowanego okrętu, lecz kiedy wracają na pokład, luki znowu są pełne. Wielu wyspiarzy przysięga, że widzieli statek płynący z mozołem w oparach gęstej mgły, z której dobiegał trwożny lament załogi, rozpaczliwie szukającej przejścia na otwarte morze.

Sam znałem pewnego starego marynarza, Baska z Puerto Chaiten nazwiskiem Eznaola, który nadal wypływa swoim kutrem, obwieszonym chorągiewkami na znak amnestii, żeby zdjąć klątwę z pirata O'Barreya i jego kamratów i uwolnić nieszczęśników z potrzasku.

Być może „Caleuche” to zabłąkany w labiryncie kanałów „Cacafuego”. Zresztą, c/y to ważne? Na tych wodach starczy miejsca dla niejednego statku widma...

O zmroku zawróciliśmy na wschód od wyspy Victoria i przez Paso del Medio za wyspą Quemada wpłynęliśmy do Wielkiego Fiordu Aisen. Stąd czterdzieści mil żeglugi w głąb kontynentu wiedzie do Puerto Chacabuco i dwóch innych miast: Puerto Aisen i stolicy chilijskiej Patagonii, Coihaique. Ale „Szalony Ptak” zacumował u wejścia do fiordu, w Caleta Oscura.

Wspólnik pokrzepił nas po całodziennych trudach smakowitą, zawieszoną z owoców morza i alg, a po kolacji kapitan Nilssen przypomniał, że to jeszcze nie koniec podróży.

— Przed nami parę godzin wodą i potem trochę lądem. Zapomniałem zapytać... jeździ pan konno?

— Tak, chociaż nigdy nie szło mi najlepiej.

— Drobiazg. To tylko jakieś siedemdziesiąt kilometrów po wertepach. Ale niech się pan nie obawia. Tyłek to ta część ciała, która najszybciej wybacza złe traktowanie.

Dwudziestego czwartego czerwca, o piątej rano, opuściliśmy Caleta Oscura i zagłęбилиśmy się w kanał Costa, jeszcze dalej na południe.

Płynęliśmy niemal w linii prostej, prawie nie dotykając steru, szerokim na milę torem wodnym. Po zachodniej stronie mieliśmy wyspę Traiguen, a po wschodniej lodowce Gór Hudsona.

Trzydzieści mil dalej, kierując się na wyspę Simpson, weszliśmy do fiordu Elefantes, osłoniętego od wschodu potężnymi, zaśnieżonymi szczytami gór San Valentin — czterema tysiącami metrów chłostanej wichrami samotności. W gładkich wodach fiordu pluskało się pokaźne stadko delfinów o czarnej skórze, po-pstrzonej po bokach sivbr/vstymi cętkami.

Podpływały do „Szalonego Ptaka”, jakby witały starego znajomego, i zwinnymi skokami dziękowały za ryby, którymi karmił je Wspólnik. Jak srebrzystoczarne strzały nocy szybowały ponad falami, po czym znikwały w głębinie, by znów wyprysnąć tuż obok statku, błyskając bursztynowymi zębami w zagadkowym uśmiechu.

Don Checho lekko obrócił koło steru i „Szalony Ptak” skręcił posłusznie ku zielonym urwiskom zachodniego brzegu. Minęliśmy półwysep Sisąuelan, a kilka mil dalej na południe napotkaliśmy nieprzebytą lodową barierę laguny San Rafael.

W powietrzu czuć było powiew wiecznych śniegów — sześciuset tysięcy hektarów lodu, których północną granicę wyznacza południowe ujście fiordu Elefantes, gdzie jeszcze sto lat temu gromadzili się Czo-nowie, Alakalufowie, Onowie i Chilotańczycy. Tam oprawiali wyrzucone na brzeg wieloryby, handlowali skórami, polowali na foki i słonie morskie, wyrównywali stare porachunki z życiem lub śmiercią i ofiarowywali dziewice swoim morskim bogom, którzy mieli je zapłodnić, wchodzących zaś w wiek męski młodzieńców napełnić obietnicami rozkoszy i szczęścia. Przywędrował tu kiedyś pewien Anglik. Rozejrzał się wokół i niczego nie zrozumiał. Napisał: „Smutne pustkowie, gdzie śmierć raczej niżli życie zdaje się królować niepodzielnie”. Niczego nie zrozumiał i dlatego skłamał — jak każdy prawy Anglik. Nazywał się Karol Darwin.

— Coś dziwnego się tu dzieje — powiedział kapitan Nilssen. — Te delfiny żyją na otwartych morzach. Ukryły się w głębi fiordu, ale nie uciekły na nasz widok. Może rozumieją, że nie jesteśmy wrogami. Kto wie? Czasem mi się wydaje, że są znacznie wrażliwsze i mądrzejsze od ludzi. To jedyny gatunek zwierząt, który nie uznaje żadnej hierarchii. Tacy morscy

anarchiści...

Delfiny dokazywały, póki nie przybiliśmy do brzegu. Możliwe, że ich przyjazne nastawienie jest silniejsze niż instynkt przetrwania.

Zakotwiczyliśmy przy naturalnym nabrzeżu, utworzonym przez płaskie skały. Zaintrygowany popisami delfinów, nie zwróciłem uwagi na człowieka, który czekał na nas, okutany w grube wełniane poncho — a przecież trudno go było nie zauważyć, bo Mały Pedro był ogromnej postury.

Wzrost jego mogłem ocenić w pełni, kiedy podszedł, żeby przywitać się z kapitanem Nilssenem.

— To jest ten człowiek, który pisze? — zapytał. Nilssen dokonał prezentacji i olbrzym wyciągnął do mnie otwartą dłoń.

Kiedy zjedliśmy krzepiący gulasz z alg lucche i co-chayuyo, pożegnaliśmy się z don Chechem i Wspólnikiem. Będzie mi brakowało jego potraw, przygotowywanych na przekór wichrom i fali, a może właśnie dzięki nim, bo niewykluczone, że używał ich jako specjalnej przyprawy.

„Szalony Ptak” wyruszył na północ, a Mały Pedro zaprowadził nas do koni — trzech włochatych szkap, które puszczały parę z pyska i niechętnie pozwalały się dosiąść. Wręczył nam wełniane ponchos i o-strogi o wielkich pierścieniach, po czym ruszyliśmy w drogę.

Niebo przejaśniło się, ukazując w pełnej krasie łańcuchy niskich gór, jeziora, strumienie, lasy i jaskinie, gdzie być może kryją się skarby z „Cacafuego”. Wkrótce zapadła noc, a my wciąż jechaliśmy pod sklepieniem gwiazd, które dwoiły się nam w oczach, odbite w zwierciadle wiecznych śniegów i w lśniących bielą zerwach lodowca San Valentin, przecinającego półwysep Taitao niedostępną ścianą.

Półwysep ów wdziera się w Pacyfik na jakieś osiemdziesiąt mil. Na południowo-zachodnim krańcu zwęża się w ledwie widoczny na mapie cieniutki przesmyk, który rozlewa się w wielką zieloną plamę półwyspu Tres Montes i maleńkie kleksy wysepek Crosslet.

i 1

Lekki mróz, przejrzysta noc i bliskość wypolerowanych przez wicher lodowych iglic San Quintin zwiastowały, iż niedaleko stąd, po drugiej stronie półwyspu, rozciągają się ziemie położone na końcu świata, gdzie człowiek musi przeciwstawić kaprysom żywiołów upór i nieugiętą wolę. Jechaliśmy raz truchtem, raz stępa, opatuleni wełnianymi ponchos, a chłód był tak dotkliwy, że żaden z nas nie miał ochoty zatrzymać się na postój. Dopiero tuż przed świtem Mały Pedro oświadczył, że wierzchowcom należy się odpoczynek.

Podczas gdy konie z trudem skubały zamarznięte, oszronione kępki trawy, Mały Pedro przygotował pasterskie śniadanie: chleb, suszone mięso charaui, a potem matę, które na tym pustkowiu smakowało mi jak nigdy dotąd.

Dwudziestego piątego czerwca o jedenastej rano ujrzeliśmy w oddali gładkie jak lustro wody zatoki San Quintin, zamkniętej od południa przez półwysep Fo-relius, odnogę Taitao.

Wkrótce dostrzegliśmy nieruchome sylwetki dwóch jeźdźców. Byli to bracia Eznaola, właściciele naszych wierzchowców i przyjaciele Nilssena, synowie owego baskijskiego marynarza, który do dziś próbuje uwolnić od klątwy załogę statku widma.

Mieli zabrać konie z powrotem do estancji La Bien Querida, położonej około dwustu pięćdziesięciu kilometrów na wschód. Kiedy dotrzemy na

miejsce, my wyruszamy na morze, a oni pogalopują poprzez lodowce i łańcuchy gór aż do brzegów jeziora Cochrane na granicy z Argentyną. U boku braci Eznaola, ludzi nawykłych do milczenia, przebyliśmy resztę drogi do zatoki San Esteban, gdzie oczekiwał nas „Finisterre”, kołysząc się niespokojnie na cumach, jakby rwał się w rejs.

„Finisterre” był statkiem o delikatnych liniach. Wyobrażałem sobie kuter w stylu angielskim, o kilku żaglach lugrowych i stosownej liczbie foków, tymczasem miałem przed sobą stateczek z jednym żaglem zamocowanym do ruchomej rei oraz przyczepionym do szta-gu lataczem.

Pomalowany był na zielono, a przejrzyste wody zatoki pozwalały dostrzec sporą część nietkniętego korozją kilu. Kapitan Nilssen zaprosił mnie na pokład.

Cały kuter, liczący dwanaście metrów długości i cztery szerokości, stanowił majstersztyk umiaru i harmonii. Ster znajdował się półtora metra od rufy i nie miał kasztelu. Z boku, niczym strażnica, wznosił się cokół kompasu z pięknie wypolerowanego mosiądzu, a dwie pętle z juty, przymocowane na stałe do pokładu, wskazywały miejsce, w którym trzymał stopy sternik podczas sztormowej pogody.

Nad rufą zawieszona była mała jolka o krótkich wiosłach, spoczywających na pękatym brzuscu. Dwa metry od dziobu widniał rozsuwany luk, odsłaniający przede mną trzewia „Finisterre”.

Potężne omasztowanie zostało starannie wypolerowane. W części dziobowej złożono w należyтым porządku takielunek i narzędzia.

Pośrodku ustawiono dwie koje i stół. Obok znajdowała się radiostacja, a bliżej rufy silnik, pompa wodna, dwie beczki z paliwem i łańcuch ciągnący steru, biegnący ku stępce.

Pożegnaliśmy się z braćmi Eznaola. Mały Pedro bosakiem odepchnął statek od brzegu, postawił latacz i ruszyliśmy z wolna. Przepłynęliśmy tak parę mil południowym kursem, a gdy wchodziliśmy do zatoki Pe-nas, kapitan Nilssen postawił żagiel lugrowy.

— Proszę przejąć ster. Bez obaw. Wkrótce pozna pan całą tajemnicę, a ja muszę pokazać panu kilka miejsc na mapie, żeby wszystko było jasne, kiedy będziemy

na miejscu. Pedro Chico nie gotuje tak dobrze jak Wspólnik, ale nikt mu nie dorówna w przyrządzaniu ryby z rusztu. Jadł pan kiedyś płastugę w soli? Niech się pan przygotuje na prawdziwą ucztę, a teraz proszę słuchać uważnie tego, co powiem.

Widzi pan tę plamkę za bakburtą? To wyspa Ja-vier. Za nią jest kanał Chear i labirynt fiordów, wrzynających się na dwadzieścia mil w głąb lądu. Rankiem ósmego czerwca zaczął wiać huraganowy wiatr z południowego zachodu, z prędkością ponad czterdziestu węzłów, co uniemożliwiło nam zaplanowany manewr, czyli dotarcie na środek zatoki Penas i wpłynięcie na pełnych żaglach w północne ujście kanału Messier. Chcieliśmy przyczaić się w przesmyku łączącym kanał z otwartym morzem, pod osłoną wysp By-ron i Juan Stiven. Stąd bez trudu moglibyśmy zablokować drogę Japończykowi, ale ten przeklęty wiatr dmuchał coraz mocniej, więc musieliśmy poszukać schronienia w głębi kanału Chear. Około południa fale sięgały trzech metrów i wyglądało na to, że kapitan Tanifuji nie docenił niebezpieczeństw czyhających na tych wodach. Pogoda wypłoszyła go z zatoki i nagle ujrzelśmy „Nishin Maru” w południowym ujściu kanału.

Był o niecałe pół mili. My mieliśmy ich jak na dłoni, oni za to nie widzieli

nas dobrze, a gdy się ściemniło, zupełnie zniknęliśmy im z oczu. Namierzili nas dopiero przez radio, na częstotliwości kapitanatu Punta Arenas. Radiotelegrafista zapytał łamaną hiszpańszczyzną, czy mamy jakieś kłopoty. Odpowiedzieliśmy, że nie. Wyjaśniliśmy, że podczas połowu małży zaskoczył nas sztorm. Po dłuższej przerwie znowu spróbowali się połączyć. Tym razem oświadczyli nam, że rozmawiamy z okrętem marynarki wojennej, znajdujemy się w strefie manewrów wojskowych i mamy natychmiast odpłynąć na północ. Potwierdziliśmy odbiór, po czym spędziliśmy noc, obserwując światła „Nishin Maru” na południowym horyzoncie. O świcie wiatr trochę osłabł, ale nie zmienił kierunku. Wciąż wiało z południa. Rozwścieczone wody kanału Messier ciskały naszym kutrem, więc żeby się stamtąd wydostać, opłynęliśmy północny brzeg wyspy Javier i ustawieni niemal bokiem do fali, dotarliśmy do zachodniej części zatoki. Minąwszy Punta Anita, złapaliśmy sprzyjający wiatr od Pacyfiku, z zachodu na północny wschód, i ruszyliśmy pod pełnymi żaglami po przekątnej zatoki. Manewr powiódł się, chociaż omal nie złamaliśmy steru. Wyprzedziliśmy „Nishin Maru” o dobre kilka mil, ale kiedy przepływaliśmy na wprost kanału Messier, jakieś trzydzieści mil od północnego ujścia, przekłęty wiatr zepchnął nas w stronę Boca de Canales — wejścia do labiryntu fiordów, wcinających się nawet na sto mil w głąb kontynentu i połączonych ze sobą ciasnymi przesmykami, w których tylko niewielu potrafi się rozeznać. Mój ojciec był jednym z nich, a Mały Pedro umie je znaleźć z zamkniętymi oczami. Tam zostaliśmy. Teraz mogliśmy już tylko czekać, aż przycichnie wiatr. Byliśmy o dwadzieścia mil od północnego ujścia kanału Messier.

Z tego miejsca wypatrzyliśmy „Nishin Maru” na środku zatoki. Szedł pełną parą, prościutko do kanału, a my nie mieliśmy żadnej szansy, żeby go dogonić. Widzieliśmy, jak się oddala, lawirując wokół półwyspu Larenas.

Tanifuji dobrze wiedział, dokąd płynie. Znał trasę na pamięć: pierwsze piętnaście mil kanałem Messier kursem południowym, potem trzydzieści pięć na południowy zachód przez kanał Swett do Cieśniny Bakera i dalej dwadzieścia mil w linii prostej na wschód, aż do Wielkiej Zatoki Bezimiennej, zamkniętej z jednej strony przez ląd stały, a z drugiej przez wyspy Videnau, Alberto i Merino Jarpa. Jest tam ponad pięćdziesiąt fiordów, gwałtowne schronienie grindwale.

Zwinęliśmy żagle i na silniku weszliśmy do Boca de Canales.

Pierwszy odcinek nie jest trudny. „Finisterre” zrećźnie pokonała czterdzieści mil, lawirując wśród płataniny zakoli i raf, wkrótce jednak pojawiły się ławice alg, w których mogła ugrzęznąć śruba kutra. W końcu o zmierzchu dotarliśmy do ujścia kanału Troya, dzielącego wyspy Alberto i Merino Jarpa, a w Wielkiej Zatoce Bezimiennej znów natknęliśmy się na „Nishin Mam”.

Zapadał zmrok, ale było jeszcze na tyle widno, że mogliśmy się przekonać, jaką metodę polowu stosuje kapitan Tanifuji. Słyszał pan może o polowaniu na konie na sposób australijski? To bardzo proste: helikoptery wypatrują tabunów dzikich koni i czekają, aż nadejdzie noc. Wówczas zapalają potężne reflektory

1 zwierzęta wpadają w panikę: oszalałe ze strachu, biegają w kółko, a myśliwi strzelają do nich z góry.

To dlatego Tanifuji czekał na helikopter w Corco-vado... żeby tutaj, w

Wielkiej Zatoce Bezimiennej, dokonać masakry wielorybów, które pod pływały bliźniutko, zaintrygowane światłem reflektorów.

O świcie Japończycy wciąż jeszcze wciągali martwe zwierzęta na pokład. Doliczyliśmy się dwudziestu sztuk, a że pracowali przez całą noc bez wytchnienia, można się tylko domyślać, ile wielorybów zabili. Nad wodami zatoki unosił się odór krwi i wszędzie pływały strzępy skóry. Poczułem, że mój długi rejs dobiega kresu. Dotarliśmy do granic nikczemności. Przyszło mi na myśl, żeby wysadzić na ląd Małego Pedra i rzucić się wraz z „Finisterre” na maszynownię „Nishin Maru”. Mam pod pokładem pięćset litrów paliwa... Niezły koktajl Mo-łotowa! Pedro czytał w moich myślach i po raz drugi w życiu przemówił do mnie jak ktoś obcy: „Nic, szefie. To moje rodzinne strony i moja sprawa”. I spuścił szalupę na wodę.

Widziałem, jak wiosłuje w stronę „Nishin Maru”, a kiedy był już blisko, marynarze zaczęli ciskać w niego śmieciami, puszkami i odpadkami, ale on odrzucał je z powrotem. Potem Japończycy skierowali na niego sikawki... Zaśmiewali się na widok Pedra w strugach wody. Cudem zdołał utrzymać się na falach.

Nie wiedziałem, nie mogłem się nawet domyślać, jaki cel mu przyświecał, kiedy ruszył samotnie na „Nishin Maru”, nie odstępując od burty kolosa, chociaż marynarze sikali na niego z góry nie tylko wodą, ale i własnym moczem. Jutro sam pan zobaczy, co się potem stało.

Nagle, gdy łódka przechyliła się niebezpiecznie, tuż obok wynurzył się grindwal i delikatnie odepchnął Pedra od „Nishin Maru”. Wówczas, posłuszne wołaniu, jakiego nikt nigdy jeszcze na morzu nie słyszał, wołaniu tak przeszywającemu, że w uszach pękały bębrenki, nadpłynęły

wieloryby i delfiny, prując fale z ogromną prędkością. Było ich trzydzieści, pięćdziesiąt, sto, a może i więcej. Niemal otarły się o burtę, a potem zawróciły i w niepowstrzymanym pędzie runęły na statek.

Mimo że wiele z nich roztrzaskało się na miazgę, ponawiały natarcie raz za razem, spychając „Nishin Maru” w stronę brzegu. Gdy statek znalazł się w pobliżu raf, na pokładzie wybuchła panika. Widziałem, jak marynarze skakali do morza, wprost między kotłujące się zwierzęta. Inni, zdesperowani, rzucili się do szalup, ale potężne uderzenia ogonów miażdżyły każdą łódź, która dotknęła wody. Nagle stojący na pokładzie rufowym helikopter stanął w płomieniach. Zadźwięczały dzwonki alarmu pożarowego, a Tanifuji nakazał odwrót. Odpływał pełną parą, nie dbając o los marynarzy, którzy wciąż miotali się w wodzie, bezlitośnie rozszarpywani przez wieloryby i delfiny.

Nie wierzy mi pan? Jutro obejrzy pan na własne oczy ślady tej bitwy.

Mówiłem przecież, że to historia nie do wiary... Sam fakt, iż pozwoliły odpłynąć „Nishin Maru”, zanim zdążył utknąć na mieliźnie, i że doholowały bezpiecznie łódkę Pedra do „Finisterre”.

A teraz proszę mi oddać ster. Całkiem nieźle pan sobie radzi. Nie ściska pan za mocno... Od razu widać, że ma pan wyczucie, jak prawdziwy sternik. W tym cały sekret. Niech się pan przygotuje na nie lada ucztę! Płastugi są już pewnie gotowe.

Tamtej nocy, gdy staliśmy na kotwicy u wejścia do cieśniny Baker, nie mogłem zasnąć. Wszystkie zasłyszane dotąd marynarskie opowieści kłębiły mi się w głowie, zlewając w jedno z relacją kapitana Nilssena.

Opatuliłem się porządnie i wyszedłem na pokład. Kapryśna, południowa

zima powitała mnie niezrównanym przepychem nocy. Na wyciągnięcie ręki miałem tysiące gwiazd, a widok Krzyża Południa, błyszczącego nad kręgiem polarnym, nappełnił mnie wzruszeniem, ufnością i siłą, jakich przedtem nie znałem. Poczułem wreszcie, że i ja mam swój dom.

Poczułem wreszcie ów zew, potężniejszy niż plemienny okrzyk, który słyszymy, a może tylko chcemy usłyszeć, by ukoić własną samotność.

Tam, w obliczu łagodnego, choć wiecznie niespokojnego morza, owej milczącej bestii, która pręży cielsko, gotowa chwycić nas w polarne objęcia, pod tysiącami gwiazd — świadków jakże kruchego i ulotnego ludzkiego życia — zrozumiałem, że jestem stąd i nawet jeśli odjadę gdzieś daleko, zawsze będę nosić w sobie cząstkę owego przerażającego, burzliwego spokoju, zwiastuna wszelkich cudów i wszelkich klęsk.

Tamtej nocy, siedząc na pokładzie „Finisterre”, nie mogłem powstrzymać łez. I nie opłakiwałem wielorybów. Płakałem, bo /nów byłem w domu.

Dzień dwudziesty szósty czerwca wstał bezchmurny, a temperatura gwałtownie spadła do ośmiu stopni poniżej zera. Wody Wielkiej Zatoki Bezimiennej były spokojne i gładkie jak lustro, a „Finisterre” sunęła lekko na lataczu, znacząc w nich delikatną bliznę.

Nagle Mały Pedro potrząsnął mnie za ramię i wskazał jakiś potężny kształt, wynurzający się od sterbur-ty. Po raz pierwszy w życiu ujrzałem skaczącego grind-wala.

Sześciometrowe cielsko szybowало w powietrzu, znikalo za prawą burtą, by po kilku minutach pojawić się z drugiej strony, powtarzając raz za razem swoje niezwykle akrobacje. Wieloryb eskortował nas przez dwie godziny, póki nie dotarliśmy do pola bitwy, jak nazwał je kapitan Nilssen.

Na falach wciąż jeszcze unosiły się resztki czarnej skóry, smoliste płyty

kilkumetrowej długości, niby szczątki rozbitków pożartych przez ryby, wystawiające z wody łakome pyski.

Na brzegu wyspy Alberto gromadziły się tysiące morskich ptaków i przybyłych z patagońskiej pampy drapieżników, które pożywiały się resztkami z niedawnej jatki. Szkielety licznych wielorybów wyraźnie odróżniały się od innych, mniejszych, należących być może do delfinów albo nieszczęsnych marynarzy z „Nishin Maru”.

Przypomniało mi się, że mam przy sobie aparat fotograficzny. Zapytałem kapitana Nilssena, czy mogę zrobić parę zdjęć.

— To zależy od pana — odpowiedział znużonym głosem.

Mały Pedro spojrzał na mnie. Dopiero teraz zauważyłem, że ma głębokie, niebieskie oczy, a kiedy patrzył na pokryte szczątkami morze, na jego twarzy pojawił się wyraz niezmiernego bólu. Schowałem aparat.

— Pedro, c/y potrafi pan wyjaśnić, dlaczego wieloryby panu pomogły i c/emu nie broniły się wcześniej?

Mały Pedro odparł, wpatrzony w wody zatoki.

— Szef pewnie panu powiedział, że jestem Alaka-lufem. Urodziłem się na morzu i wiem, że są sprawy, których nie da się wytłumaczyć. Tak jest i już. My, Alakalufowie, wierzymy, że wieloryby nie potrafią się bronić i że są jedynymi zwierzętami, które wiedzą, co to litość. Kiedy spuściłem szalupę i zacząłem wiosłować w stronę statku, wiedziałem, że załoga mnie zaatakuje, wiedziałem też, że wieloryby pospieszą mi z pomocą, kiedy zobaczą, że jakieś wielkie zwierzę napada na bezbronną istotę. I tak się stało. Ulitowały się nade mną.

— A co będzie z tymi, które przeżyły?

— Odejda. Ten grindwal, który za nami płynął, to samiec zwiadowca. Poszukają innych zatok, innych fiordów, coraz dalej na południu, na końcu świata — zakończył Mały Pedro i delikatnie zakręcił kołem steru.

—No, dobra. Zobaczył pan już wszystko. Może pan napisać, co pan chce — powiedział kapitan Nilssen i dodał: — I proszę nie zapomnieć o „Finisterre”. Statki, które poznały smak przygody, nie boją się oceanów atramentu i z ochotą żeglują po papierze.

1

Szóstego lipca wróciliśmy do Hamburga. Mówię „wróciliśmy”, bo Sarita przyjechała razem ze mną.

Z nogą w gipsie i w ortopedycznym gorsecie opasującym brzuch, sadowiła się w samolocie, nieustannie wypytyjąc mnie o to, co widziałem w kanałach.

Po krótkim rejsie powrotnym „Finisterre” zostawił nas u ujścia Wielkiego Fiordu Aisen, w Puerto Chaca-buco, gdzie przyjaciele kapitana Nilssena czuwali nad Saritą.

Z Chacabuco udaliśmy się do Coihaique, a stamtąd do Balmacedy, na granicy z Argentyną. Tam wsiedliśmy do samolotu i poleciliśmy do Santiago.

Upłynęło zaledwie kilka dni, odkąd pożegnałem się z kapitanem Nilssenem, Małym Pedrem i „Finisterre”, ale w miarę jak oddalaliśmy się od południowych krańców Ameryki, ich wspomnienie coraz bardziej blakło w mej pamięci.

— Co dalej, kapitanie?

— Dopóki „Finisterre” trzyma się na wodzie, będę pływał. Niech pan powie tym z Greenpeace, że mogą na nas polegać. To dobry statek.

— I najlepsza załoga pod słońcem.

— Staramy się... Prawda, Pedro?

— Nie wiem, czy się jeszcze kiedyś zobaczymy, kapitanie. I nie wiem, czy opiszę to, co widziałem. Przed wyjazdem / I właśnie dostałem od przyjaciół z Greenpeace ten proporzeczek / I oceniło organizacji. Będzie ładnie wyglądać na maszynach „I

I

— Dziękuję. My też mamy coś dla pana, a raczej dla pańskiego syna. Podobno prosił o muszlę, bo chciał usłyszeć, jak szumi pańskie morze?

— Kapitanie... Pedro...

— Pomyślnych wiatrów...

Santiago, Buenos Aires, Rio de Janeiro. Atlantyk w pelerynie białej piany.

—No, przyszywany hamburczyku... powiedz, o czym myślisz.

— O tym, że trzeba cię zawieźć do kliniki... Zobacysz, niedługo zagramy w tenisa. Ciekawe, ile litrów piwa z nami wypijesz.

— Nic nie napiszesz, prawda? To będzie twój sekret. Cokolwiek tam zobaczyłeś, teraz już wiesz, że ty też jesteś stamtąd, a to znaczy tyle co przysięga milczenia.

— Może coś napiszę, a może nie... Ale tobie, naszym przyjaciołom z Greenpeace i moim wspólnikom opowiem pewną historię, tylko jeden jedyny raz... Uwierzycie mi albo nie uwierzycie... Mówisz, że jestem „stamtąd”? Teraz już wiem. Myślę o tym, co powiedział mi kapitan Nilssen... o statku, którego już nie ma. Ten statek był jego ojczyzną. Dwadzieścia godzin później. Europa.

Sarita spała błogo, wolna od niebezpieczeństw, a ja nie mogłem się doczekać, kiedy zobaczę synów. Wyobrażałem sobie, jaką minę zrobi

najstarszy na widok przepięknej muszli, którą podarowali mi Nilssen i Mały Pedro.

To była niezwykła muszla. Takie gigantyczne mięczaki żyją tylko w słonych wodach Południa. Wyjąłem ją z torby i przyłożyłem do ucha. Tak, to było burzliwe echo mojego morza. Szorstki, głuchy szum mojego morza. Niezmiennie tragiczny głos mojego morza.

I chyba dlatego, że wciąż myślałem o synach, zwróciłem uwagę na chłopca, który siedział w tym samym rzędzie, po drugiej stronie przejścia. Mógł mieć jakieś trzynaście lat. Pograżony w lekturze, zapomniał o całym świecie, a w jego oczach lśnił blask przygody.

Pochyliłem się i bezczelnie zerknąłem mu przez ramię, żeby zobaczyć okładkę książki.

Czytał Moby Dicka.

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc dotychczas ukazały się następujące książki Luisa Sepulvedy:

HISTORIA O MEWIE I KOCIE, KTÓRY UCZYŁ JĄ LATAĆ
2002

DZIENNIK SENTYMENTALNEGO KILLERA.

KAJMAN

2002

Wkrótce:

EXPRESS PATAGONIA

PRZEGAPIENIA

Ś